Nr. 192. Lwów — Piątek dnia 21 Sierpnia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
NUMER KOSZTUJE we Lwowie 4 ct. na prowincyi 5 ct.
Numera z poprzednich dni po 10 ct.
[illegible]

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką [illegible] wynosi: w kraju i w Austryi [illegible] w Niemczech [illegible] w innych państwach [illegible]
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. [illegible]
CENY OGŁOSZEŃ [illegible]

Dziś: św. Joanny | Maftei M. — Jutro: św. Filiberta | Ławrentya M.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca g. 5 m. 9, Zachód „ 6 „ 54.
Długość dnia g. 13 m. 45. Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 sierpnia.

Obawa nowej wojny z Abisynią jest tak wielka we Włoszech, że margrabia Rudini już trzeciego delegata posyła do Menelika. Co jednak jest w tem dziwnego: żaden z tych delegatów nie jest Włochem. Pierwsi dwaj — to Szwajcarzy, Ilg i Nerazzini, trzecim zaś jest Rosyanin Leontjew, który [illegible] do Petersburga delegacyi abisyńskiej. P. Leontjew, niedawno wrócił z Szoi, wylądował w Marsylii, otrzymał natychmiast zaproszenie od Rudiniego, naradzał się z nim w niedzielę i odjeżdża do Abisynii.

Możliwość nowej wojny jest prawdopodobna. Walka ucichła, nie znaczy to jednak bynajmniej, by pokój się na dobre utrwalił. Zewnętrzne przyczyny klimatyczne stanęły na przeszkodzie dalszemu prowadzeniu wojny, ale powody jej nie zostały usunięte, do porozumienia pomiędzy walczącemi stronami dotychczas jeszcze nie doszło. Opinia publiczna we Włoszech [illegible] niebezpieczeństwo nie jest dotąd zażegnane i dlatego to epizod ujęcia statku „Doelwyck" tak silnie ją zaalarmował. Na tym holenderskim okręcie znaleziono 2477 pudeł z bronią i 125 pudeł z amunicyą. Samych karabinów było tam sztuk 50 tysięcy. Skonfiskowanie tego ładunku może rozdrażnić Menelika i skłonić go do wznowienia kroków nieprzyjacielskich, więc oto dlatego schwytanie „Doelwycka" tak silnie sprawiło wrażenie we Włoszech [illegible] rząd włoski [illegible] właściwe ogłosić komunikat, w którym zapewnia, iż nie da się powtórnie zaskoczyć wojnie, jakkolwiek bliski jej wybuch nie jest przewidywany.

Przedewszystkiem rząd włoski zamierza wzmocnić straże morskie około wybrzeży afrykańskich i nie dopuścić dowozu broni dla armii abisyńskiej. Jeżeli nadto śledztwo, rozpoczęte w Massawie z powodu ujęcia „Doelwycka", stwierdzi pogłoskę, że część schwytanego ładunku przeznaczona była dla derwiszów, wtedy i angielskie krzyżowce dopomogą włoskim w stróżowaniu wybrzeża afrykańskiego. Jednak to zadanie floty włoskiej będzie silnie paraliżowane tem, że ograniczyć się musi wyłącznie wodami włoskiemi. Po za niemi, w pasie morza neutralnym, Włosi nie mają prawa zatrzymywać i rewidować podejrzanych statków, pod zaprzyjaźnioną flagą płynących; jeżeli zatem na przyszłość dostawcy broni będą ostrożniejsi i unikać zechcą wód włoskich, Menelik bez przeszkody otrzymywać będzie broń potrzebną. Ten stan rzeczy, dla Włoch wysoce niepomyślny, jest nieprzewidzianym skutkiem polityki Crispi'ego. W stosunku do władzcy abisyńskiego cała jego działalność była skierowaną ku temu, by zniewolić go do przyznania nad sobą protektoratu włoskiego. Kiedy zatem w r. 1890 w Brukselli obradował kongres międzynarodowy, który pomiędzy innemi miał wydać zakaz dostarczania broni władzcom afrykańskim, Crispi uznał chwilę tę za dogodną dla wykazania Menelikowi ogromnych korzyści, jakie zapewnić mu może protektorat włoski. Za pośrednictwem hr. Antonelli'ego zaproponował mu, by upoważnił Włochy do zaprotestowania w jego imieniu przeciw powyższemu zamiarowi kongresu. Miało to być bardzo zręczne polityczne posunięcie: poseł włoski w Brukselli, występując w imieniu Menelika, miał tem samem przed całym światem zadokumentować, że Abisynia zgadza się na ten punkt umowy w Ucciali, który pozwala władzcy jej komunikować się z zagranicą wyłącznie za pośrednictwem opiekuńczego państwa. Mądry Afrykańczyk wolał oczywiście zgodzić się na to pozorne ustępstwo, do niczego zresztą nie obowiązujące, by uzyskać prawdziwe i doniosłe korzyści, których bez pomocy Włoch nigdyby nie otrzymał. Dzisiaj Menelik może się przeto powołać na stanowisko Włoch, zajęte w tej sprawie przed sześciu laty i z punktu widzenia prawnego apelacya jego ma za sobą słuszność. Ujemne skutki tego stanu rzeczy zmniejszyć może interwencya Anglików, którzy, broniąc wybrzeży afrykańskich przed dowozem broni dla swoich nieprzyjaciół z nad górnego Nilu, skutecznie też mogą dopomódz swoim sprzymierzeńcom.

Podług dzienników rzymskich, dowódzca wojsk włoskich w Erytrei, jenerał Baldissera, powróci jedynie na chwilowy pobyt do Afryki, ponieważ nadwątlony stan jego zdrowia nie pozwala mu stale przebywać w afrykańskim klimacie. Na razie jednak w początkach jesieni zarządzi odpowiednie środki obrony przeciw oczekiwanym w tej porze krokom zaczepnym ze strony Abisyńczyków. Pomiędzy innemi uzyskał w Rzymie od rządu fundusze, potrzebne na budowę kolei żelaznej pomiędzy Asmarą a Gurą, która to linia przedłużona będzie następnie do Aduy. Gura stanowi pozycyę, w której nawet znaczny korpus wojska bezpiecznie rozłożyć się może obozem i która obfituje w żywność i wodę. Zapytany, czy uważa za możliwe przeniesienie wojny do kraju Szoa, odpowiedział Baldissera, że do tej akcyi niezbędne jest czteroletnie przygotowanie. Wreszcie donoszą dzienniki rzymskie, że jenerał Baldissera uważa zawarcie pokoju z Abisynią za prawie niemożliwe, bo animusz wojenny samego negusa, jego rasów i wojowników jest podobno ogromny.

Kilka dzienników zarówno w cesarstwie niemieckiem, jak i w Austryi, równocześnie zwraca uwagę na to, że polityka prezesa gabinetu włoskiego, margrabiego Rudiniego, stała się rusofilską i że rusofilizm ten objawia się na każdym kroku, a między innemi także i w tem, iż specyalny wysłannik cara wyjechał powitać królewicza włoskiego w Antivari. Jak daleko sięga rusofilizm Rudiniego, tego nie wiemy, że jednak jest on szczególnym zwolennikiem przyjaznych stosunków między Włochami a Rosyą, to nie jest żadną nowiną i to odkrycie mogły owe dzienniki zrobić już przed czterema laty. Wtedy to bowiem, w jesieni r. 1892 w liście otwartym do wyborców swoich w Caccamo, wspominając o swej działalności politycznej, podniósł Rudini na pierwszem miejscu, że dążył zawsze do utrzymania jak najlepszych stosunków z Rosyą i że poczytuje to sobie za zasługę.

Odznaczenie hr. Gołuchowskiego. — Zaręczyny w Cetynii.

Piszą nam z Wiednia, 19 sierpnia:

Że hr. Gołuchowski już teraz otrzymał najwyższy order złotego runa, świadczy to o szczególnem zadowoleniu Cesarza ze sposobu, jakim się minister wywiązuje z swego zadania, tudzież o zupełnem zaufaniu do jego osoby. Hr. Gołuchowski objął rządy w nader trudnych stosunkach, zawikłanych na wewnątrz zatargiem Kalnokiego z Węgrami, na zewnątrz pojawieniem się na porządku dziennym kwestyi wschodniej w najgroźniejszych rozmiarach. Spokojną, wytrawną, uprzejmą, a w potrzebie energiczną taktyką nowy minister spraw zagranicznych zdołał dotąd zażegnać wszelkie niebezpieczeństwa, któreby mogły zagrażać żywotnym interesom monarchii. Niemal wszystkie dzienniki odznaczenie ministra omawiają dziś z gorącem uznaniem jego zdolności i zasług. Półurzędowy *Fremdenblatt* mianowicie podnosi coraz przyjaźniejsze stosunki z Rosyą, chociaż naszem zdaniem, w tym względzie inne fakta stanowią bardziej przekonywający dowód przywrócenia normalnych stosunków pomiędzy Wiedniem a Petersburgiem, niż dziwaczny prezent z szabli Rakoczego. Inne dzienniki wskazują na wyraźne zbliżenie się Rumunii do Austro-Węgier, do czego gorliwie przyczynił się hr. Gołuchowski. Wczorajszy zaś toast cesarza Wilhelma, który Cesarza Franciszka Józefa nazwał „najserdeczniejszym przyjacielem i sprzymierzeńcem", świadczy, że nowe rezultaty zostały osiągnięte bez naruszenia dawnych podstaw polityki zagranicznej. Może nas to napełnić słuszną dumą, że Polak na najwyższym a w danych okolicznościach trudnym urzędzie monarchii, zjednał sobie w tak wysokim stopniu zaufanie i uznanie Monarchy, sympatyę ogółu, nawet tych kół, które w r. z. nominacyę jego przyjmowały z pewnemi zastrzeżeniami, a zarazem pokonał uprzedzenie zagranicznych czynników.

W poglądach na zaręczyny królewicza włoskiego z piękną Heleną czarnogórską, prasa tutejsza grzeszy optymizmem, który, gdyby był zupełnie szczerym, przypominałby żywo poczciwego Candida, zawsze gotowego „de soutenir que tout est bien, quand tout est mal" (utrzymywać, że wszystko jest dobrze, gdy wszystko jest źle). Jeden z tych naiwnych dzienników (*Extrablatt*) posuwa się nawet do śmiałej kombinacyi, że ks. Nikita, wchodząc jako teść królewicza włoskiego do grona mocarstw, tworzących ligę pokojową, na przyszłość stanowczo się wyrzecze wszelkich zamiarów ambitnych i awantur. Tymczasem na odwrót, trzeba poruszyć pytanie, czy Włochy nie wystąpią z ligi potrójnej, a zwłaszcza z sojuszu z Austro-Węgrami, przechylając się na przeciwną stronę? *Neue Freie Presse* dopiero wczoraj, trochę późno, odkryła znane od dawna russofilskie tendencye margrabiego Rudiniego, my już od kilku miesięcy dostrzegamy symptomatów zwrotu w polityce włoskiej, który niezręczny ks. di Sermonetta odsłaniał zawcześnie i naiwnie, ale którego przebiegły Visconti-Venosta dokonywa może systematyczniej. W każdym razie trudno przypuścić, aby ks. Nikita, jako teść dwóch wielkich książąt rosyjskich, królewicza włoskiego i pono niebawem także króla serbskiego, stał się mniej ambitnym niż dotąd. Owszem, dokładniejsze obeznanie się z polityką rodu sabaudzkiego może tylko zachęcić ks. Nikitę do tem gorliwszego odegrania podobnej roli na półwyspie bałkańskim. Słowem, wprawdzie na teraz przyjazne stosunki pomiędzy Wiedniem a Petersburgiem wykluczają wszelkie bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale wielkie wypadki świata przygotowują się powoli, a nikt od nas lepiej nie wie z własnych smutnych dziejów, jak to powstaje żelazna obręcz pożądliwości sąsiadów, która państwo, wyrzekające się wszelkiej zaczepki, pragnące żyć w zgodzie ze wszystkimi, w danej chwili wykreśla z karty europejskiej. To też wieść o tych głośnych i demonstracyjnych zaręczynach w Cetynii austryacko-węgierskich mężów stanu nie może — jak pewne dobroduszne dzienniki — wprawić w zachwyt, lecz jest dla nich donośnem ostrzeżeniem. Będzie trzeba teraz z podwójną podejrzliwością spoglądać na Rzym, Cetynię i Petersburg.

Korespondencye.

Warszawa 17 sierpnia.

Nie wiem, czy plotki o tutejszych stosunkach idą od nas do was, aby znów tu powrócić, czy też rodzą się w niektórych waszych „dobrze poinformowanych" redakcyach i potem przychodzą do nas. Zbadać ich pochodzenie byłoby i ciekawe i pożyteczne. Tymczasem zanotować trzeba, że te plotki zwykle bardzo prędko giną na suchoty. Tak stało się z bajką (Chwała Bogu, tym razem niewinną!), że hr. Szuwałow ustępuje. Otóż nie ustępuje. Powrócił wcale nie po to, aby rzeczy pakować: wziął się do spraw, które może zechce posunąć. A niektóre z nich jak n. p. sprawa przeniesienia ze środka miasta szpitala Dzieciątka Jezus, koniecznie wymagają dobrego szczutka.

Wszystkim nie od dziś wiadomo, iż się u nas nic z pośpiechem nie robi. Projektowania, namysły, wahania, zwłoki i przeszkody trwają tu zwykle dłużej, niż gdzieindziej. Ale przeniesienie szpitala Dzieciątka Jezus na folwark św. Krzyżki powolnością przeszło bodaj wszystkie inne wypadki. Niejeden, co o zamierzonych, a nawet zdecydowanych przenosinach słyszał w dzieciństwie, dziś poważnie wąsa kręci i myśli o pchnięciu świata na nowe tory, wyznaczając temu faktowi bliższy termin, niż prawdopodobnie nastąpi usunięcie ogniska tyfusu, szkarlatyny i t. d ze środka Warszawy. Już wszystko było dobrze, umowa z kompanią jakąś o nabycie i użycie placów poszpitalnych została zawarta; łatwowierniejsi z nas wierzyli, że już mury na folwarku dochodzą do 2-go piętra, kiedy jak grom spada wieść, że obywatele, a raczej posiadacze gruntów w okolicy folwarku nie życzą sobie sąsiedztwa szpitala i podali prośbę do magistratu, aby sobie gdzie indziej poszukał placu odpowiedniejszego. Motywy obywatelskie dadzą się streścić tak: ponieważ dokoła folwarku jest pustka, więc może się kiedyś zabudować; jeżeli Warszawa dosięgnie Rakowca, to szpital znajdzie się znów w środku miasta. Niektóre pisma tłómaczą obywatelom, iż miejsce przeznaczone na szpital ma warunki idealne, bo dokoła są przestrzenie, które nawet w razie zabudowania się całej okolicy muszą pozostać pod ogrodami, dziedzińcami i t. d. Nam się zdaje, że szkoda papieru i atramentu. Magistrat „obywatelskich" pożądań nie zadowolni, bo gdyby chciał to zrobić, to musiałby dla równie słusznych przewidywań, przenieść się po za granicę powiatu, guberni, nawet Kongresówki.

Od czasu do czasu występują na jaw przeróżne słabizny naszych urządzeń wodociągowo-kanalizacyjnych. Przed tygodniem na przykład, gdy spadła na Warszawę burza z silną ulewą, ucierpieliśmy nie mało z powodu braku specyalnych kanałów burzowych, których dotąd jeszcze nie zbudowano. Skutkiem tego zapomnienia, czy też opieszałości, mieszkańcy bardzo wielu suteren, wraz ze swemi ruchomościami, zostali w y l a n i na ulicę przez okna; w wielu też mieszkaniach, wyżej położonych, woda, wydobywająca się otworami klozetowemi, zalała pokoje, czyniąc znaczne szkody. Wszystko to (i wiele innych tego rodzaju wypadków) miało swe źródło w przepełnieniu rur kanalizacyjnych, nie mogących dość szybko odprowadzić do Wisły wody deszczowej.

Burza dała się wszystkim we znaki: nie oszczędziła też i wystawy hygienicznej, która, dzięki jej, miała jeden dzień — postny. A ponieważ z innych powodów dni takie nie należą tam do rzadkości, więc coraz częściej i coraz głośniej w obrębie „Hygeopola" wymawiany jest wyraz „deficyt". A jednak brzydki ten wyraz powinienby być wykreślony raz na zawsze ze słownika wszelkich publicznych użytecznych przedsięwzięć!

Czekając z rezygnacyą na ostateczny wynik rachunków, zarząd wystawy rąk bezczynnie nie zakłada. „Hygeopol" zmienił się od pewnego czasu w pole olimpijskie: odbywają się na nim wciąż igrzyska. Po ciekawym popisie sprężystych łydek w wyścigach piechurów, mieliśmy popis krzepkich bark i tęgich ramion w zapasach warszawskich siłaczy. Te popisy mają charakter specyalny i spowodować nawet mogą reformę modnego dziś sportu. Zapaśnicy walczą pod nadzorem lekarzy, ci ostatni zaś bardziej zważają na hygieniczne, niż na widowiskowe znaczenie zapasów.

Ale odbywają się na wystawie — już od pierwszej doby jej istnienia — innego rodzaju popisy, niemające nic wspólnego ani ze sportem, ani z hygieną. Są to popisy zręczności warszawskich... rzezimieszków. Operują oni z powodzeniem we wszystkich oddziałach, zaopatrując się w piękne i użyteczne „pamiątki z wystawy". Nader długa jest dziś lista przedmiotów, które w ten sposób przeniesione zostały z pawilonów i kiosków wystawowych do dziedziny... „czwartego wymiaru"; lista zaś ta nieustannie się jeszcze wydłuża. A jak dziwne odkrycia czyni się przy tej sposobności! W tych dniach np. przy eskamotowaniu cholewek od bucików damskich przytrzymano buchaltera prywatnego! Bądź co bądź reklama to niemała dla szewców i... dla dam warszawskich.

Na listę projektowanych wystaw przybyła świeżo wystawa psów. Ma ona tak dobrą racyę bytu, jak każda inna. Może dzięki wystawie dowie się publiczność gdzie i u kogo mogą potrzebujący nabywać psy pokojowe, myśliwskie i inne. Dotąd [illegible] najpiękniejsze okazy z Niemiec i Anglii, płacąc za nie ogromne sumy.

Upiększająca się nieustannie Warszawa widocznie chce być przyzwoicie elegantką, której z pod jedwabnej sukni wygląda brudna spódnica. Oto zdemaskowano w niej jednym zamachem: wadliwą budowę domów naszych i... okropne niechlujstwo zamieszkujących je ludzi. Budowniczy — w artykule wydrukowanym w *Zdrowiu* — uchylił zasłonę, pokazując wewnętrzne gospodarstwo warszawskiego przeciętnego domu i na początek pokazał nam jego niziny i jego szczyty, to znaczy piwnice i poddasze. [illegible] warszawskie piwnice i warszawskie poddasza [illegible] chorób zakaźnych. Budowniczy-hygienista widzi tylko jeden środek zwalczenia złego: budowanie domów bez poddaszy i bez piwnic. Środek ten sprowadziłby [illegible] reformę dzisiejszej budowy mieszkań. Domy nowego typu miałyby dachy płaskie (z ogródkami na [illegible]), a tak zwane „góry" do suszenia bielizny byłyby zbyteczne, gdyż każdy dom posiadałby wspólną obszerną pralnię, zaopatrzoną we wszelkie potrzebne przyrządy. Miejsce piwnic zastępowałyby starannie przewietrzane spiżarnie przy lokalach. Jak wielki zamach na [illegible], wyborny ten projekt nieprędko [illegible] doczeka się wykonania.

Rozpoczął się „sezon" ([illegible] „pora") pielgrzymek zbiorowych na odpusty. Tylko co powróciła liczna kompania z Miedniewic, gdzie odbył się odpust N. Panny Anielskiej; już zaś [illegible] jeszcze wyrusza do Częstochowy na uroczystość Wniebowzięcia N. Maryi Panny. W pielgrzymkach tych, prócz kmieci i proletaryatu miejskiego, coraz częściej przyjmują udział osoby „z waszecia". Pątnicy surdutowi oraz pątniczki w gorsetach mieszają się odważnie z szarym, siermiężnym tłumem, niby porcelana z prostą gliną. Powinszować sobie możemy tego powrotu do zapomnianych zwyczajów.

Z nowości teatralnych winienem wyróżnić czteroaktowy utwór nieznanego dotąd zupełnie autora, p. Jana Szutkiewicza, który odsłonił się niespodzianie jako prawdziwy talent komedyopisarski i to w rodzaju bardzo mało u nas uprawianym; jego „Popychadło", to flamandzki obrazek ze świata mieszczańskiego, pełen doskonale z natury podpatrzonych figur, pełen prawdy, humoru, obserwacyi i scenicznego ruchu. Wystawiła tę świeżą nowalię z niezwykłem powodzeniem trupa łódzka a zagrała tak doskonale, że śmiało jej grę uważać można za „bez konkurencyi".

Zdarza się u nas często, że jakiś Paweł łamie sobie głowę nad tem, komuby mógł sprzedać, choćby „za psie pieniądze": frak, magle, lub oleander. W tymże samym czasie jakiś Gaweł niezmiernie frasuje się tem: od kogo mógłby kupić tanio: oleander, frak lub magle. Niekiedy obywatele ci mieszkają o ścianę, ale — nawzajem o sobie i o kłopotach swoich nie wiedzą. Powstający obecnie w naszem mieście „Kantor wykonywania poleceń" postawił sobie za zadanie: zbliżać takich Pawłów z takimi Gawłami. Zdaje się, że na brak zajęcia narzekać nie będzie.

Zaledwieśmy przebrnęli połowę roku 1896, już nam przypomina jego następcę — „Żyd". Tym razem heroldem owym nie jest posiadacz weksla płatnego 1-go stycznia 1897 r., lecz — kalendarzyk humorystyczny pod takim brodatym tytułem. Kalendarzyk ten na pytanie: jaki jest najpewniejszy sposób rozstrzygnięcia kwestyi żydowskiej? odpowiada: „Oddać żydom dobrowolnie wszystko, co jeszcze posiadamy, i kwestya będzie skończona". Jak na książeczkę do śmiechu, brzmito nazbyt elegijnie.

---

14)

Pomiędzy przyjaźnią a miłością

przez

M. LESCOTT.

Dziennik Lorki.

(Ciąg dalszy).

Poddajmy więc pod ścisłą analizę rozsądku skryte myśli moje i uczucia, ki dy to ma być z korzyścią dla duszy i kiedy matka Angela tak każe.

Szukam, szperam i doprawdy nic znaleźć nie mogę... ani jednej myśli, ani jednego uczucia, któregobym obwieścić nie mogła całemu światu.

Co mnie najwięcej zajmuje teraz, to instalacya w pokoju, w którym obecnie piszę. Wybrałam go z pomiędzy wszystkich innych dla jego staroświeckiego wyglądu, wyblakłych jedwabnych draperyj, gotyckich okien, drewnianych pożółkłych sztukateryj, powykrawanych jak koronki, i stojącego zwierciadła, które mi przesyła odbicie całej mojej postaci — na zielono.

Pytałam się, kto też przedemną przeglądał się w tem zwierciedle? Odpowiedziano mi, że hrabina Edyta, pierwsza żona hrabiego de Varsange. Umarła młodo i odtąd pokój jej był zawsze zamknięty. To mnie trochę przeraziło. A gdyby też duch jej wrócił z tamtego świata i nagle stanął przedemną w ciszy północnej godziny? W tych starych zamkach zawsze błąkają się jakieś pokutujące duchy. Ale hrabina Edyta była świętą, jak wszyscy tutaj twierdzą, więc dusza jej osiągnęła już pewnie wieczną chwałę. To nie jak jej następczyni, hrabina Florencya. Mama mówiąc o niej do papy, nazywała ją nikczemną. Pytałam dla czego? Znowu odmówiono mi tłómaczenia.

Biedne my dziewczęta!... Że też my nic wiedzieć nie możemy!

22 go maja. Nie lubię przyznawać się do tego, gniewa mnie to, ale nie ma już co owijać w bawełnę... nudzę się. Baszty są jednak zawsze imponującemi basztami, wyspa wygląda cudownie w oprawie z zielonych wód à *la longue...* to trochę jednostajne.

Jestem sama jedna tutaj; nie mam ani siostry; ani brata, ani przyjaciółek, ani nikogo, z kimby pośmiać się i pogadać. Rodzice moi są kochani i jak najlepsi w świecie, ale mama zawsze zakłopotana. Z początku bałam się, czy nie chora, ale przekonałam się, że to tylko sprawy domowe tak ją trapią i pozbawiają humoru; kupno i dostawa zapasów spiżarnianych, zguba prosiątka, śmierć koguta, wreszcie niezręczności popełniane co chwila przez Macieja lub Maryannę. Boję się, że i ja zawód okropny sprawiłam biednej mamie i przyczyniłam się mimowoli do jej nieukontentowania. Spodziewała się, że wrócę wyfaszerowana mądrością, ułożona jak lalka i ozdobiona różnorodnemi talentami. Tymczasem w głowie pozostało mi tyle nauki, ot, co każdej przeciętnej pannie; ani trochę więcej. Talentów wybitnych nie posiadam wcale; gram źle na fortepianie, głos mam słaby i nie lubię rysować. Moje najniewinniejsze koncepta irytują mateczkę, która zaraz zaciska usta z miną surową. Wczoraj powiedziała do papy:

— Nie wiem doprawdy, czego te zakonnice nauczyły Lolę! Takie z niej dziecko jeszcze, że pojęcie przechodzi.

Na to papa odparł ze zwykłą swoją pobłażliwością:

— Dajże jej pokój, biedaczce... Ma jeszcze dość czasu przed sobą, aby się stać rozsądną.

Więc nawet papa znajduje, że nie jestem dość rozsądną, choć się tak silę, aby go zadowolnić. To doprawdy niesprawiedliwie. Cóż mi mogą zarzucić? Przecież nie mogę brać tak bardzo do serca tego, że kurczęta są chude, albo że szczury zjadły brzoskwinie. Przecie i biedne szczury także coś jeść muszą. Nie mogę też zajmować się interesami jak papa, bo się nic a nic nie rozumiem. Więc koniec końców, cóż mam robić, żeby dowieść, że jestem stateczną, rozsądną, dorosłą panną, a nie podlotkiem?

Tak się cieszyłam, że wrócę do domu, a teraz już sama nie wiem, czy się cieszę, czy nie...

13 go maja. Mam jeszcze nowe zmartwienie. Dostałam list od mojej najlepszej przyjaciółki, Maryni Roulot. Przyrzekłyśmy sobie do końca życia mówić wzajemnie wszystko, więc ona dotrzymuje teraz słowa. Otóż ona od miesiąca dopiero wyszła z klasztoru, a była już na balu, na prawdziwym balu, co się zowie; a ja, która od sześciu miesięcy skończyłam pensyę, nie byłam jeszcze na żadnym wieczorku nawet; bo trudno przecie wieczorkiem nazwać partyi bostonu cioci Fruzi z księdzem proboszczem, który ma już pewnie sto lat.

Pan Roulot jest pułkownikiem artyleryi. Wydał bal, na którym Marynia robiła honory. Miała gazową białą suknię z trenem (ach! z trenem; a ja co się musiałam naprosić, żeby mi spuszczono zakładki u tego bronzowego szlafroczka!) i stokrótki we włosach. Ona jest bardzo ładna, to też pisze mi, że miała szalone powodzenie. Ani na chwilę nie przestała tańczyć, a w kotylionie dostała mnóstwo orderów: myszkę, słomiany kapelusik, wachlarz, ekranik i bukiet róż. Najwięcej tańczyła z jakimś lejtenantem, którego tajemniczo nazywa wicehrabią. Wydaje się bardzo dumną z tego. Wicehrabia ma jasny wąsik, ciemne oczy i błękitny mundur.

Czekają ją jeszcze inne bale i jakaś wielka zabawa, zwana „rally paper". To po angielsku. „Paper" znaczy papier, a „rally" połączyć, zebrać.

Jakim sposobem zbieranie papierków może stanowić jakąś przyjemność, tego zgoła nie pojmuję. Marynia mi to wytłómaczy.

Ale co ja jej na to wszystko odpowiem? Już jej opisałam szczegółowo mój pokój o spłowiałem obiciu i wyblakłych niebieskich draperyach, moje baszty, mój piękny park... Nie mogę przecie zaczynać na nowo, a niestety! nie mam ani balów, ani wice-hrabiów, ani nawet papierków do zbierania. Jest pełno wicehrabiów w sąsiednich zamkach (są pewnie i papierki) i miałam nadzieję, że poskładamy tam wizyty; ale mama oświadczyła, że trzeba zaczekać na konie nasze i ekwipaże, aby wywrzeć pożądany efekt (zawsze ten efekt!). Papa zaś stanowczo wzbrania się odnawiania stajni i zaprzęgu tego roku. Odkłada to na przyszłe lato; powiada, że ma ważniejsze rzeczy na głowie; tak, ale do tego czasu biedna Lorka czy Lola pewnie dostanie galopujących suchot z nudów.

Ograniczymy się więc tymczasem na odwiedzeniu dygnitarzy z miasteczka; że zaś doktor i regent nie są żonaci, więc zostaje nam poborca, sędzia pokoju i pani pocztmistrzowa!

Miła perspektywa!

24 go maja. Papa uprzedził mamę, że będziemy mieli na śniadaniu regenta, pana Piotra Dubois.

— Radzę ci, moja droga — rzekł do mamy —abyś uważała, co mówisz przed nim o Varsangach. Jest jak wściekły na tym punkcie. Nigdy nie zapomnę, jak się uniósł, kiedy wystąpiłem do niego z twoją niefortunną propozycyą.

Co to za jakaś propozycya? Nic nie wiem o tem. Wszyscy w tym domu mają jakieś sekreta przedemną.

Papa przykazał mi, abym była uprzejmą dla gościa. Chce, aby pan Dubois był zadowolonym z naszego przyjęcia, bo powiada, że może mu być bardzo użytecznym w zawiadowaniu majątku.

Mnie to wszystko jedno... Jakiś prowincyonalny notaryusz, który w dodatku nazywa się *Piotr!* Ręczę, że stary, łysy, że nosi złote okulary i ma nos czerwony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiedeń 18 sierpnia

Urodziny cesarskie, przyjazd bliski carskiej pary, wreszcie może i ciągła, nieustająca słota, utrudniająca willegiaturę sprawiły, że bardziej niż kiedykolwiek w tem lecie opustoszała dotąd stolica, zwolna się zapełniać zaczyna. Świat oficyalny powrócił dla brania udziału w nabożeństwie odprawiającem się dziś, w rocznicę urodzin Cesarza, w kościele św. Szczepana. Po południu, jak co rocznie odbył się obiad u Kardynała Arcybiskupa wiedeńskiego, na który otrzymali zaproszenie najwyżsi dygnitarze urzędowi i dworscy. Na przyjęcie cara i carowej zapowiada się zjazd nader liczny. Przygotowania się już rozpoczęły, mianowicie wznoszeniem masztów wzdłuż drogi od dworca kolei północnej, przez Praterstrasse i Ring aż do Burgu. W pobliżu Aspernbrücke i Hotelu Imperial budują bramy tryumfalne. Chciwy wrażeń lud stołeczny przygląda się ciekawie przygotowaniom i cieszy się myśląc o czekających go widowiskach, mianowicie o mającej się odbyć nazajutrz po przybyciu cara z niezwykłą świetnością paradzie wojskowej na Schmelzu, gdzie aż sześć podczas pobytu rosyjskich gości w Wiedniu skoncentrowanych pułków kawaleryi przed monarchami defilować będzie. Węgrzy są dotknięci mile darowaniem im przez cara Mikołaja szabli Rakoczego, wystawionej na wystawie peszteńskiej, a należącej do zbiorów cesarskich w Petersburgu. Szabla ta z rękojeścią ozdobioną koralami, z nazwiskiem Rakoczego i datą, ofiarowaną została podobno swego czasu przez panie węgierskie jenerałowi Bemowi. Po powstaniu węgierskiem dostała się wraz z innymi łupami wojennymi do Petersburga. Przysłana tego roku na wystawę peszteńską, wielkie tam budziła zajęcie. Do najcenniejszych pamiątek narodowych zaliczają ją Węgrzy, i radzi są, że za wolą cara Mikołaja, znów się narodową własnością staje. W przededniu przybycia cara do Wiednia jest ten podarek—jako podarek istotnie—zręcznym aktem politycznej kurtoazyi.

Z powrotem hr. Badeniego do Wiednia, a barona Banffyego do Pesztu, sprawy ugodowe stają znów na pierwszym punkcie porządku dziennego. Odezwał się znów *Pester Lloyd*, a odezwał charakterystycznie. Wprawdzie nie chce się on rozwodzić teoretycznie nad kwestyą „junctim“ (to jest równoczesnego załatwienia sprawy kwoty i ugody handlowo-celnej) nad którą się co prawda nie zbyt szczęśliwie, a bardzo szeroko do niedawna rozwodził, co wywołało pamiętną szermierkę z wiedeńskim *Fremdenblatt*'em. Ale skonstatowawszy na wstępie, „że wskutek f a t a l n e g o zbiegu okoliczności projekty ugodowe wniesione będą do Izby bezpośrednio przed zamknięciem jej kadencyi“, wyraziwszy mimochodem żal, że z tą sprawą do następnego nie zaczekano parlamentu, przychodzi pismo to znów do praktycznej konkluzyi, że uchwalenie czegoś więcej ponad traktat celno-handlowy dla braku czasu będzie niepodobnem. Zresztą — kończy *P. Lloyd* — między traktatem celno-handlowym a kwotą faktyczną, dotąd połączenia nie ma, bo co do pierwszej kwestyi nastąpiło już porozumienie między rządami, co do kwoty zaś nie nastąpiło“. Cały ten wywód *Pester Lloyd*'u, acz w formie swej na oficyalną zakrawający enuncyacyę, zdaje się być jednak tylko wyrazem myśli tego pisma, a nie rządu węgierskiego. Kiedy *Pester Lloyd* po raz pierwszy kwestyę owego „junctim“ poruszył, z niebywałą jednomyślnością austryackie organy wszystkich stronnictw i odcieni zaprotestowały przeciw takiemu posiekaniu jednolitego organizmu ugody na poszczególne części, dla rozmaitych przeznaczone parlamentów. Nie jest tedy prawdopodobnem, żeby to zapatrywanie po cislitawskiej stronie zmieniono.

Dr. Lueger powrócił ze swej wycieczki monachijskiej. Dostała mu się za nią ostra nagana ze strony, z której się jej spodziewać chyba nie musiał, bo z kół antiliberalnych niemieckich. I protestancka *Kreuzzeitung* i katolicka *Germania* zgodziły się w zdaniu, że zupełna nieznajomość stosunków, mogła tylko wiedeńskiego wiceburmistrza skłonić do zbliżenia się do „kwantytatywnie i kwalitatywnie“ najniepozorniejszego ze stronnictw bawarskich, które nie gra najmniejszej nawet roli w politycznem życiu w Niemczech i któremu po prostu dał się „złapać“. Może ta z tak niepodejrzanej strony pochodząca admonicya sprawi, że odtąd dr. Lueger ostrożniej wybierać będzie cele swych tryumfalnych wycieczek, którychby najlepiej całkiem zaniechać na swem nowem stanowisku powinien.

Peszt 17 sierpnia.

(*Z Wystawy*).

Węgrzy są dumni ze swojej wystawy i mają z czego. Już samemi rozmiarami przewyższa to widowisko wiele dotychczasowych przedsiębiorstw tego rodzaju. Na ogromnym obszarze, bo na przeszło pół miliona metrów kwadratowych, wystawiono kilkaset budynków i pomieszczono w nich wszystko, co kraj posiada godnego widzenia. Miasta i w[illegible]sze, kościoły, zamki i pałace, muzea i galerye, ogołociły się ze swoich pamiątek, aby uświetnić wystawę w Budapeszcie. Półpięta miliona guldenów kosztuje ta „zabawka“, jak tę wystawę nazywają niechętni.

Wystawa budapeszteńska nie jest wystawą w rozumieniu zwykłem. Jest to więcej demonstracya polityczna, egzamin dojrzałości, złożony przez Węgrów przed Europą.

Chociaż Madziarowie obchodzą w tym roku tysiącletnią rocznicę swojego panowania na ziemiach podległych koronie św. Szczepana, nie mieli mimo to czasu do prawidłowego rozwoju. Zanim potomkowie jeźdźców, którzy przybyli z Arpadem (w roku 896) z za Uralu, wyparci ze swoich siedlisk przez silniejszych barbarzyńców, pokonali ostatecznie liczne plemiona, mieszkające w dzisiejszych Węgrzech, minęło lat dwieście. Mieli oni wprawdzie już w tej pierwszej epoce wielkiego króla (św. Szczepana), który posiadał, oprócz cnót rycerskich i żołnierskich, geniusz organizatorski, ale wówczas Węgrów było tak nie wielu, że nie mogli odrazu narzucić woli swojej pierwotnym mieszkańcom bogatej krainy. Gdy się to stało, gdy dokonano stanowczego podboju i organizacyi kraju, przyszły przeszkody innego rodzaju. Mongołowie zalewali często ziemię węgierską. Turcy i Niemcy niepokoili ją przez kilka wieków. Bitwa pod Mohaczem (w r. 1526) złamała siłę Madziarów i rzuciła ich na lat dwieście pod stopy tureckie. Wyzwoleni od Turków, dostali się pod panowanie Niemców, którzy rządzili w Węgrzech, jak w kraju zdobytym.

Właściwy rozkwit ekonomiczny i umysłowy Węgier, zaczyna się dopiero w stuleciu bieżącem.

Pozbywszy się po roku 1867 po dokonanej ugodzie z Austryą reszty hamulców, wzięli się Madziarowie z niezwykłym pośpiechem. Chcieli oni w ostatnich latach trzydziestu dogonić pod względem ekonomicznym Europę zachodnią, którą zawsze, od samego początku swojego przybycia z Azyi, gorliwie naśladowali. O tym rozwoju świadczy najpierw wzrost ludności.

Historya nie zapisała cyfry Węgrów, którzy przybyli razem z Arpadem temu lat tysiąc do Europy. I cyfra tubylców nie jest znana nawet najstarszym kronikarzom. Prawdopodobnie było jednych i drugich niewielu, wszystkie bowiem ziemie wschodniej, środkowej i północnej Europy, przeważnie lesiste i błotniste, nie odznaczały się gęstem zaludnieniem.

Pewne wskazówki co do ludności Węgier posiada historya dopiero z XV stulecia. Spisy lustracyi podatkowych owego czasu wykazują od 4 do 5 milionów mieszkańców. Cyfra ta zmniejszyła się następnie po nieszczęśliwej bitwie pod Mohaczem. Panowanie baszów tureckich zmniejszyło ludność Węgier prawie o połowę.

W chwili, gdy Turcy opuszczali Węgry, było w kraju tylko dwa i pół miliona mieszkańców. Cyfra ta poczęła się zwiększać z nadzwyczajną szybkością. Spis ludności, zarządzony przez cesarza Józefa II w roku 1785 wykazuje już dziewięć milionów, w r. 1850 policzono trzynaście i pół miliona, w roku 1870 piętnaście i pół miliona, w roku 1891 siedemnaście i pół miliona. Obecnie posiadają Węgry ośmnaście milionów mieszkańców. Większość siedzą poddani korony św. Szczepana na skraju zachodnim państwa, od Natry aż do Zagrzebia i na równinach Alföld, czyli w okolicach najżyźniejszych. Najmniej ludności posiadają okręgi górskie.

Typem osad węgierskich jest wioska, licząca od 300 do 700 dusz. Miast większych posiadają Węgry niewiele. Peszt (dziś po złączeniu z Budą z Pesztem, Budapeszt) miał jeszcze w przeszłem stuleciu zaledwie 10.000 mieszkańców. Wzrost stolicy Węgier jest dziełem bieżącego wieku. Ludność Budapesztu rośnie szybko, jak w miastach amerykańskich. Z początkiem bieżącego stulecia mieszkało w Peszcie i w Budzie 50000 ludzi. Obecnie liczy zjednoczona stolica około 600 tysięcy dusz. Nie jest to ludność miejscowa, lecz napływowa. Z chwilą, kiedy się Budapeszt stał rzeczywistem ogniskiem państwa, zalewa go bezustannie żywa fala, płynąca ze wszystkich stron kraju. Najbogatsi ludzie ogromnego miasta nad Dunajem są żydzi. Izraelici zagarnęli powoli cały handel i przemysł Węgier. Zwłaszcza po ostatnich ustawach liberalnych rzucają się żydzi tłumnie do Budapesztu przezwanego przez wiedeńskiego antisemitę Luegera, Judapestem (zarazą żydowską). W sklepach budapeszteńskich widzi się istotnie prawie samych żydów. Tak samo na wszystkich wybitniejszych stanowiskach handlowych i przemysłowych.

Drugiem węgierskiem miastem po Budapeszcie jest Szegedyn z 90.000 mieszkańcami, trzeciem Zagrzeb (około 60.000 mieszkańców).

Nie ma może w Europie państwa, w którem by się tyle różnych ras i narodowości obok siebie tłoczyło, jak Węgry. Sami panowie kraju, prawdziwi potomkowie gromadki awanturników, którzy przybyli z Arpadem nad Dunaj, szukając dla siebie nowej ojczyzny, osiadają prawie w środku dzisiejszych Węgier i zajmują dotąd przeważnie urodzajne równiny Alfoldu. W Budapeszcie jest ich tak niewielu, należy ich szukać głównie w masie innych narodowości. Zamieszkują głównie po wsiach i małych miasteczkach otaczających stolicę. Z dwóch stron, z północy i południa, prą Madziarów Słowianie, z trzeciej, zachodniej, Niemcy, ze wschodu i południa strzępy plemion romańskich. Słowacy, zbliżani językiem i obyczajami do Morawian, zajmują duży obszar, bo się ciągną od zachodu Karpat aż prawie do Granu. Jadąc z Cieszyna do Budapesztu, widzi się wszędzie dobrze typowe twarze słowiańskie i typowe chaty słowiańskie z dachami słomianemi. W komitecie trenczyńskim można się bardzo dobrze po polsku rozmówić. Z drugiej strony Budapesztu, aż do brzegów morza Adryatyckiego, ciągną się wsie i miasta chorwackie, słoweńskie i dalmatyńskie. Ziemia, zajęta przez Madziarów, sprawia wrażenie wyspy, otoczonej zewsząd falą słowiańską.

Oprócz Madziarów, Niemców, Chorwatów, Słowaków, Słoweńców i Dalmatyńców, mieszkają jeszcze w państwie węgierskiem: żydzi, Włosi, Bułgarzy, cyganie, Serbowie, Rumuni, trochę Greków, Awarów i różnych innych narodowości. Cała ta wieża Babel narodowa żyje obok siebie w zgodzie dość znośnej, wybuchając jednak przy każdej sposobności ze swojemi dążeniami separatystycznemi.

Co do pochodzenia Madziarów, nie zgodziła się jeszcze nauka na jedno. Są oni potomkami jakiegoś plemienia uralsko-altajskiego, zbliżonymi językiem do Ugrów, zaś charakterem do Turków. Tyle tylko pewna, iż nie należą do rodziny aryjskiej. Będąc ludem koczowniczym, upodobali sobie Madziarowie szerokie równiny, na których osiadłszy, używali owoców łatwo odniesionego zwycięstwa. Nie pomyśleli nigdy o zgnieceniu obcych żywiołów, coby im dawniej przyszło z łatwością. Dziś, po rozbudzeniu świadomości narodowej w całej Europie, trudną [illegible]ie. Ograniczeni konstytucyą [illegible]ni wobec dążności separatystycznych słowiańskich, o czem zresztą [illegible] wiedzą.

O konkurencyi amerykańskiej

Na wielkim konkursie rolniczym, urządzonym przez Wschodnio Belgijskie Towarzystwo rolnicze w Liége, profesor Damseaux miał odczyt o stanie rolnictwa w Ameryce północnej i o konkurencyi z tej strony. Prelegent, jedna z pierwszorzędnych powag rolniczych w Belgii, tak mówił:

„Przypisują naszej rywalce niezrównaną potęgę wytwórczą. Łatwo, tanio i stale wytwarzać, oto ogromny przywilej, którym jakoby cieszą się Stany Zjednoczone. W istocie, czyż nie ogólnem jest zdanie, że rolnik amerykański włada ziemią dziewiczą, niewyczerpalną, nie wymagającą nawożenia; klimat ma być niesłychanie odpowiednim dla uprawy zbóż, tak, iż siejąc rok po roku pszenicę, można jednak osiągać wysokie plony, że rolnik amerykański jest w posiadaniu doskonałych maszyn, że komunikacye są tam tak ułatwione, jak lepiej już prawie być nie może i t. d., i t. d. W rzeczy samej, niektóre z tych przekonań są słuszne; jak wiele jednak jest przesady w innych!

Jeżeli przebiegniemy Stany Zjednoczone od wschodu ku zachodowi, natrafimy naprzód na okolice, gdzie rola uprawną już jest od kilku wieków; konkurencya dalszych okolic uniemożebniła tam uprawę zboża, i rolnik tamtejszy, będąc mniej więcej w tych samych warunkach co my, zwraca się ku hodowli. Szczególnie mleczarstwo rozwinęło się tam znacznie. Nauczono się już nawozić pola, pozaprowadzano płodozmiany, w których rzadziej jeszcze znajduje miejsce pszenica, niż u nas, jednem słowem system i warunki gospodarowania są tam prawie takież, jak u nas, i nie mamy racyi obawiać się w niczem konkurencyi z tej strony.

Przenikając w głąb kraju, napotykamy okolice, gdzie uprawa ziemi jest daleko młodszą. Wytrwali koloniści, toporem, rydlem i pługiem przeistoczyli dziewicze lasy i niezmierzone stepy w urodzajne pola. Lecz wyczerpanie naturalnego bogactwa tych gruntów coraz bardziej się uwidocznia. Można powiedzieć, że już od lat 10 wskutek ciągłej uprawy, bez zasilania roli nawozami, urodzaje zmniejszają się w szybkim stopniu. W okolicach większych miast (Chicago, Saint-Paul, Millwauke) farmerzy zwracają się ku hodowli. Tak też się już dzieje i w tej sławnej Dakocie, w której niegdyś kilka zbiorów pszenicy wystarczały, by wzbogacić rolnika. Bez przerwy powtarzający się siew pszenicy na tych żyznych gruntach, wyczerpał je do ostateczności. Na usprawiedliwienie rolnika przytoczyć należy, że nie on jest wyłącznie temu winien, więcej przyrodzone warunki, sprzyjające rozwojowi chwastów, przy niesłychanej drożyźnie robotnika. Nic więc dziwnego, że po krótkim czasie ziemia się wyczerpuje. Lepiej od wszelakich rozumowań naukowych udowodnią nasze zdanie następujące cyfry, zaczerpnięte z rachunków rolników północnej Dakoty.

Rok uprawy	Zbiór w kg. z hektara,	czyli korcy z morga
1	2200—2000	10
2	1600	8
3	1200	6
4 i 5	800—1000	4 do 5

a w następnych latach od 400 do 600 kg., co zależało od mniej lub więcej sprzyjających okoliczności meteorologicznych. Z drugiej strony statystyka rządowa podaje 4 korce, jako przeciętny zbiór z morga dla całego państwa. Cyfra ta nakazuje przypuszczać, iż na znacznej przestrzeni zbiór wynosi zaledwie 2 lub nawet mniej korcy z morga. Gdybyśmy mogli poprzestać na takich urodzajach, nic by nam nie stało na przeszkodzie, uprawiać rok po roku pszenicę, jak to się dzieje w Ameryce. Przez staranniejszą uprawę, przez nawożenie, przez użycie doborowego nasienia, Amerykanie mogliby bez wątpienia ogromnie powiększyć swe zbiory, ale na to potrzeba kapitałów i robotnika, czego rolnictwo amerykańskie nie posiada. Co zaś do klimatu, to rzec można na pewno, iż nasz jest daleko stosowniejszy dla pszenicy, a nawet i dla ogółu uprawnych roślin.

Wobec tak nizkich zbiorów, łatwo zrozumieć, że rolnik amerykański, przy teraźniejszych cenach w gorszem jest jeszcze od nas położeniu. Pomimo życia niemal pustelniczego, zapełnionego ogromną pracą, oszczędnością i niewygodami, w wielu okolicach Stanów Zjednoczonych, rolnik nie może już sobie dać rady. Musi on, albo zmienić system swej gospodarki lub emigrować dalej na zachód.

Na tym punkcie uwidocznia się jego wyższość nad ogółem naszych rolników. Należy mu przyznać więcej przedsiębiorczości, więcej rzutkości, niżeli nam. Gdy tylko okoliczności tego wymagają, kilka miesięcy, jeżeli nie tygodni, wystarczają dla niego, aby zreformować do gruntu swój system eksploatacyi. Inni znów wolą posuwać się dalej ku zachodowi, gdzie za cenę 10 złr. można nabyć morg gruntu. Nowe te posiadłości poddane są temu rabunkowemu gospodarstwu, i w ten sposób wyczerpanie gruntów rozszerza się coraz dalej i dalej aż do Oceanu Spokojnego. Obliczają iż w roku 1900, całe terytoryum Stanów Zjednoczonych przejdzie przez uprawę, a nawet w znacznej bardzo części będzie już wyczerpanem.

Bezsprzecznie niektóre koszty uprawy są w Ameryce tańsze, niż u nas, n. p. ziemia nic prawie nie kosztuje, a przedsiębiorcy dostarczają za niewielką roczną opłatą jaką taką szopę, która odgrywa rolę naszych zabudowań folwarcznych. Nigdzie też nie umiano w rolnictwie zastosować lepiej maszyny, niż w Ameryce. Nieznanemi są tam inne przyrządy do żniwa, jak żniwiarko-wiązałki. Lokomobila młóci i nasypuje zboże jako tako doczyszczone wprost do worków, które się zaraz odwozi do elewatorów, urządzonych na stacyach kolei żelaznych, lub nad brzegami kanałów i rzek. Za zboże otrzymuje rolnik czek, który każdy kantor bankierski zmieni na gotówkę. Odwrotną stroną medalu jest to, że rolnik amerykański nie ma żadnego niemal kredytu. Zrozumieć przyczynę tego łatwo, zważywszy, jak małą przedstawia on hipotekę. Co zaś do kosztów najmu, są one dwa do trzech razy wyższe, niżeli w Europie zachodniej. Ogromnej rozległości łany dojrzewają prawie jednocześnie, co pociąga za sobą konieczność nadzwyczajnego pospiechu w sprzęcie. Przy obecnych cenach zboża, rachunkowość farmera wykazuje deficyt niemal na całym obszarze Stanów Zjednoczonych. Zbiór z morga w roku zeszłym dał około 28 złr. brutto, gdy tymczasem suma 28 złr. brutto uważaną jest za najniższą, która pozostawia nieznaczny dochód rolnikowi. W naszych warunkach, w średniej ziemi wydatek 2500 kg. z hektara (13 korcy z morga) pozostawia już pewien dochód *). Niezapominajmy jednak, że w gospodarstwach dobrze prowadzonych w których dostateczny kapitał obrotowy wspomaga praktycznie i teoretycznie przygotowanego administratora, wydatek ten nieraz przekracza 3200 kg. pozostawiając do 45 złr. czystego dochodu z hektara.

Jak już zauważyliśmy, rolnik amerykański, z małymi bardzo wyjątkami, nie stosuje wcale nawozów. I dziwnie na pozór się tam składa, obornik bowiem, zamiast powiększać zbiory, spowodowuje ogromnie bujny rozrost zielsk, które zagłuszają pszenicę. Fakt to bardzo naturalny, gdyż ściółka słomiana zawiera wiele zielsk, których nasienie, wraz z obornikiem przewiezione na pole, daje początek licznej rzeszy wrogów roślin uprawnych.

Zresztą niemałej wagi jest fakt, iż gleba Stanów Zjednoczonych a zatem i jej produkcya, jest ubogą w kwas fosforny. Co się zaś tyczy azotu, to przyznać musimy, iż grunt amerykański jest w niego nader zasobny i rolnicy tamtejsi nie są zmuszeni wydawać tyle co my na zakup nitratów. Tutaj zauważymy nawiasem, iż europejskie rolnictwo źle robi w obecnych czasach wziąwszy się tak gorączkowo do używania saletry chilijskiej i siarczanu amonu. Pokłady pierwszej są nader ograniczone; z tego więc względu i z powodu wygórowanych cen azotu w handlu, należy nam coraz więcej siać rośliny czerpiące azot z atmosfery. Poświęcenie to jednak z naszej strony nie wielkie, i wcale nie zapewniające rolnictwu amerykańskiemu przewagi nad nami, gdyż rośliny wzbogacające glebę w azot, same przez się opłacają się w naszych warunkach.

Wykazaliśmy powyżej, że sposób eksploatacyi gruntu w Stanach Zjednoczonych powoduje wyczerpanie kompletne tamtejszej ziemi. Zbiory coraz są mniejsze i niezadługo przestaniemy obawiać się ich konkurencyi na rynkach zbożowych. Żyta Stany Zjednoczone nigdy nie eksportowały. Nie używają go nawet Yankesi, uważając, iż żyto nie jest godnem ich pożywieniem. Piwowarstwo doskonale się tam rozwinęło i konsumcya jęczmienia jest tam znaczną. Klimat amerykański jest zresztą bardzo nieodpowiedni dla jęczmienia, który tam wcześnie dojrzewa i jest ubogim w krochmal, a zatem mało cenionym przez browary. Nasi więc piwowarzy zaopatrują się w jęczmień nie amerykański, lecz europejski. Słusznem jest więc zdanie że zbyt mało przywiązujemy wagi do uprawy jęczmienia.

Nie myślmy, by rolnicy amerykańscy nie zdawali sobie sprawy z własnego położenia. Już wspomnieliśmy, iż zwrot ku hodowli coraz bardziej się uogólnia. Widocznem jest dążenie,

*) Przypominamy, iż to mówi p. Damseaux, stosując to zdanie do warunków rolnictva belgijskiego.

Jak się Chińczycy bawią.

Czasopismo angielskie *Good Words*, korzystając z okazyi pobytu w Londynie Li-Hung-Czanga, poznało za świeżo ogół czytający z jedną, mało znaną, a ciekawą bardzo stroną życia chińskiego. Opowiada ono w obszernym artykule o tem, jak się Chińczycy bawią i daje obraz tych zabaw, które doprawdy nie zawsze „po chińsku“, jak się mówi u nas, wyglądają — owszem, bodaj czy nie dałyby się niekiedy z przyjemnością i nie bez pożytku, niektóre z nich przynajmniej, na grunt europejski przenieść.

Chińczycy najpierw obchodzą mnóstwo świąt różnego rodzaju, a każde z nich obchodzą nadzwyczaj wesoło, tem weselej, że są to jedyne dnie wypoczynku niedzieli bowiem nie święcą wcale. Kalendarz ich od pierwszego stycznia do Sylwestra biegłby bez żadnego wytchnienia, bez przerywania zajęć codziennych, gdyby praktyka i zwyczaj nie zaimprowizowały dni odpoczynkowych, które swoją drogą i znaczenia religijnego z biegiem czasu nabrały, wyznaczywszy miejsce w szerokiej mierze na modlitwy i na bicie i tłuczenie w dzwony, zdolne ogłuszyć najwytrwalsze ucho europejskie. I *far niente* panuje podczas dni świątecznych zupełne, bezwzględne.

Jedna rzecz wszelako, jedno cierpienie trapi rozbawionego po niedzielnemu Chińczyka: ogromny, straszliwy brak pieniędzy. Bieda jest epidemiczną w tym kraju, a może nigdzie złoty cielec nie byłby przedmiotem tak żarliwego kultu, jak tu właśnie. Mają też Chińczycy bóstwo, odpowiadające fortunie i obsypują je ofiarami, nudzą na śmierć błaganiem, cóż, kiedy napróżno: bieda jest, bo była. Drugi dzień drugiego miesiąca przeznaczony jest na święto tego bożka, do którego cisną się wówczas zewsząd tłumy nieprzejrzane. Każdy przynosi coś w ofierze: jakieś jadło, mięsiwo jakieś, napitek, układając to wszystko w stertę, która niebawem sięga bóstwu po pas i wyżej jeszcze.

Ale Chińczycy, to ludzie rachunkowi. I oni znają godło: nic darmo. Więc ustawiona przed bóstwem armata pionowo, do góry wylotem, zwiastuje w imieniu bóstwa, kto z ofiarodawców będzie przez cały ciąg roku szczególnym wybrańcem fortuny. Praktyka ta jest bardzo komiczna. Do armaty wkładają miarę prochu, który nakrywają... zwyczajną jarmułką chińską, poczem zapala się lont, armata strzela, wyrzucając wysoko w górę ową jarmułkę: na kogo ona spadnie, ten będzie przez rok cały benjaminkiem fortuny. Można sobie wyobrazić, ile rąk wyciąga się po błogosławioną jarmułkę, gdy ta wyleci z armaty. Ale stokroć szczęśliwszy, kto ją pochwycił. Ten z miejsca odczuwa już całą błogość swego losu. Wszyscy cisną się doń, winszują, każdy wsuwa mu pieniądze, choćby ostatnie, a nim zdąży do domu, już tam sąsiedzi wszystko przeistoczyli: precz stare sprzęty, precz zużyte odzienie; całe domowstwo do góry nogami przewrócone. Kosztowne meble, makaty, nowa garderoba i stół obficie a wytwornie zastawiony. Ucztować tylko dzień i noc z przyjaciołmi, przy dźwiękach muzyki, która czeka skinienia jedynie, by coraz nową symfonią szczęśliwca uraczyć.

Inne święta, nie mniej popularne, to obchód „Smoków pływających“, czyli łodzi wiosłowych, mających wygląd zewnętrzny podobny do smoka, a długich dwadzieścia do trzydziestu łokci. Zwyczaj każe, aby u steru takiego smoka stał człowiek, rzucający garstkami ryż co kilka minut do rzeki, a ku pożytkowi dusz tych, którzy kiedykolwiek potonęli. Po wyścigach następuje rozdanie nagród; słowem, coś mniej więcej, w rodzaju naszych regat wioślarskich.

Specyalne święta ustanowione są dla kobiet. Wiadomo, że kobieta chińska trzymana jest najsurowiej w obrębie domu, z którego rzadko kiedy, jedynie w celu złożenia wizyty się oddala. Wyznaczono też pewną liczbę świąt dla niej wyłącznie. Dziewiętnastego dnia drugiego miesiąca najpierw przybywają tłumnie kobiety do świątyni Kwaszjin, bogini miłosierdzia i płodności. To przedziwne bóstwo przyszło na świat właśnie w dziewiętnastym dniu drugiego miesiąca: stąd aniwersarz. W oczekiwaniu procesyi niewieściej przedsionek świątyni rozbrzmiewa muzyką; w sanktuaryum tymczasem kapłani buddyjscy odbywają hałaśliwy jakiś ceremoniał, po którym nastaje cisza. Wówczas przybywają penitentki; każda, rozumie się, dźwigając dary, które natychmiast składa u stóp bóstwa, poczem siada lub klęka. Niebawem wychodzą procesyonalnie kapłani i kołem otaczają penitentki, śpiewając modły. Rytm tych modłów, powolny zrazu, przyśpiesza się stopniowo; pod koniec kapłani, wpadłszy w rodzaj ekstazy, tańczą w szalonych podskokach z okrzykami szaleńców, aż zmęczeni, wyczerpani, ustają, i wtedy dopiero każdy podchodzi do penitentek i uroczystym głosem zapewnia je, że ich prośby są wysłuchane.

Bezpośrednio prawie po tem święcie przypada inne, mianowicie święto „środka nieba“, w ciągu którego kobiety przygotowują specyalne ciasto, mające rozmaite i wielce mistyczne znaczenie. Kawałki owego ciasta rozsyłane są przyjaciołom na wszystkie strony świata, do Australii, Kalifornii, nawet do Europy, wszędzie, gdzie jeno jest jaki Chińczyk — tak zwyczaj każe. Ciasto jest zaprawione siekanemi listkami rośliny, noszące i miano „rybiej trucizny“, albowiem istotnie ryby sną w wodzie, do której wrzucono tego ziela.

Jak wiadoma, Chińczycy wierzą w nieśmiertelność duszy i życie pozagrobowe; dbają też bardzo o groby przodków i utrzymują je z najprzykładniejszem staraniem, obawiając się, w razie zaniedbania, bolesnych ze strony tychże przodków, represaliów. Na podobieństwo starożytnych Egipcyan, wierzą Chińczycy, że człowiek ma trzy dusze, z których jedna w chwili śmierci, śpieszy połączyć się z bóstwami nieśmiertelnemi, druga pozostaje w zwłokach tego zmarłego złożonych w grobie, a trzecia wciela się w tabliczkę, umieszczoną na grobowcu. Dwa razy w roku, na wiosnę i na jesieni, dwaj członkowie rodziny pozostałej po zmarłym oczyszczają groby familijne i ubierają je, poczem odbywa się zawsze stosowne na samem miejscu nabożeństwo i złożenie ofiar. Wedle wierzeń ogólnych jednak, dziedzictwo pozagrobowej nieśmiertelności, tak samo jak i ziemia nie jest wolna od żebraków, ani od trędowatych; otóż ci mogliby najniesłuszniej przywłaszczyć sobie to, co wcale dla nich nie było ofiarowane. A zatem na ich intencyę składa Chińczyk zawsze kilka drobnych ciasteczek („Dziady“?) i trochę drobnej papierowej monety. Nie sposób też omijać przy podobnej sposobności bóstwa, opiekującego się cmentarzem, bo i ono, wet za wet, mogłoby dokuczyć zmarłym. Aby więc nakłonić je do neutralności, składają mu się oddzielnie w ofierze trzy talerzyki z jadłem, trzy filiżanki wina, trzy laseczki kadzidła, dwie świece i trzy paczki monety papierowej. Wtedy ofiara jest już zupełną i duchy zmarłych już podzieliły się „duchową treścią“ darów, nic przeto nie przeszkadza, aby z kolei żywi podzielili się ich treścią materyalną. Zjadają tedy co było do zjedzenia, pieniędzmi się skrupulatnie obdzielają: i wilk syty i owca cała. Po tej ceremonii cmentarnej rodzina zbiera się w domu, w „sali przodków“, i tu zasiada do uczty, złożonej zawsze z trzech dań nieodmiennie. Pierwsze danie — pasztet z wieprzowiny z kapustą i morskiemi rakami; drugie — gęś nadziewana czekoladą; trzecie — ryż gotowany.

Wreszcie odbywa się w każdym domu raz na rok uczta wspaniała na cześć bogów i na uproszenie ich łaski na rok następny.

Do największych może odrębności życia chińskiego zaliczyć można mieszkania pływające. Wyobraźmy sobie setki gabarów i statków umocowanych pod samem wybrzeżem miejskiem, których podkłady są zabudowane mieszkaniami z wielkim nieraz przepychem urządzonemi, a oświetlone tysiącami świateł. Kanton szczególnie słynie z obfitości i wspaniałości takich siedzib. Mieszczą się w nich też setki hotelów i restauracyj, do których śpieszą wszyscy, bogaci i ubodzy. I są powody po temu. Chińczyk bardzo rzadko przyjmuje u siebie w domu; przytem żony i córki nie uczestniczą w zabawach, szuka więc Chińczyk po za domem towarzystwa kobiecego, w którem czas przepędzić może przyjemnie, a najzupełniej godziwie, rozmawiając z kobietami wytwornemi, wykształconemi, słuchając muzyki ich i śpiewu, słowem, będąc jakoby na wizycie... za swoje pieniądze. Te panie pełnią rolę gospodyń w sposób całkiem światowy i są, jak to się mówić przywykło, najzupełniej na wysokości zadania.

Jeżeli Chińczyk chce naprzykład zaprosić na obiad trzech przyjaciół, to zamawia na oznaczoną godzinę taki pływający salon restauracyjny i ośm dam, po dwie na każdego. Wszystkie stawią się ubrane najpoprawniej i rozbierają między siebie role, poczem siadają do stołu ordynkiem, trzymając się cokolwiek dalej od niego niż ich towarzysz. W dalszym ciągu wybierają patyczkami i kładą na talerz najlepsze kawałki, dolewają wina i wciąż bawią rozmową, po uczcie zaś, nałożą mu fajkę, podadzą zapaloną i szczebiocą nieustannie, chrupiąc nieustannie od czasu do czasu pastylki.

Każda trójka ma po za sobą służącego, który macha powoli ogromnym wachlarzem, zmienia talerze i t. d. Uczta trwa bardzo długo. Po skończeniu jej wszyscy przechodzą do przyległej komnaty, siadają na sofach i oddają się swobodnemu trawieniu, podniecając humor rozmową lekką, paląc fajki, cygara, niekiedy zaś opium: towarzyszki i tu ich nie opuszczają, gwarząc wesoło i chrupiąc pastylki.

Nareszcie pod sam wieczór udają się wszyscy na sam pokład, pięknie illuminowany. Tu pod gołem niebem piją się likiery i pali się tytoń w dalszym ciągu, dziewczęta zaś tańczą i śpiewają przy dźwiękach orkiestry, z pięciu lub sześciu muzykantów złożonej.

Autor zapewnia najsolenniej, że wszystkie podobne towarzyszki festynowe są jak najlepiej wychowane i żadna z nich nie wyjdzie z granic przez zasady przyjęte w dobrem towarzystwie zakreślonych. Żadna nie zdobędzie się na żart niewczesny, tem mniej dwuznaczny tak zaś amfitryon jak i zaproszeni, obchodzą się z niemi jak z szanownemi a najmilszemi cackami. Sam autor uczestniczył po kilkakroć w takiej zabawie i wyniósł z niej wspomnienie wolne od wszelkiej przymieszki niewłaściwej. Wierzyć mu trzeba na słowo, choć może to i trudno. Prawda bo, że to i bardzo od nas daleko, od nas Europejczyków, którym się zdaje, że rozumy wszystkie pojedli i że świat cały jak w tęczę w nich patrzył. Nie, bynajmniej. A w każdym razie nie zapatrzyła się na nas ta dziwaczna rzekomo rzesza chińska której my często nie rozumiemy i nie pojmujemy wcale, a od której z pewnością niejednego nauczyćby się można.

u nich zalania teraz Europy produktami zwierzęcemi, a wszystkie dane przekonywają nas, że tak się stać może. Oto kilka cyfr w tej kwestyi. W ostatnich latach 30 liczba koni w Ameryce wzrosła w czwórnasób. Już nie sprowadzają oni teraz reproduktorów z Europy. Przed kilku miesiącami dostawiono z New-Yorku 200 koni do Hamburga. Jest to pierwszy taki transport, ale któż zaręczy, jakie rozmiary dowóz ten przyjmie za lat kilka. Kierunek, jaki przyjmuje nabiałowe gospodarstwo, jest też dla nas zatrważającym. Nie można zaprzeczyć, abyśmy przez ostatnie lat 10 nie uczynili dużych postępów na tem polu, jednak Ameryka i tu nas prześcignęła. Przez ten krótki czas powstał tam cały szereg stacyj i szkół mleczarskich, a produkcya masła powiększyła się o 32 prct. Do tej pory my dowoziliśmy im masło, dziś jednak na rynku londyńskim spotykamy już masło amerykańskie, rywalizujące z pewnem powodzeniem z masłem duńskiem. Stosunek wzrostu ilości bydła do przyrostu ludności dowodzi najlepiej, iż Stany Zjednoczone wkrótce staną się groźnemi i pod tym względem.

Wogóle przyznać należy, że wszelkie gałęzie hodowli szybkiemi tam idą krokami i że jesteśmy prawdopodobnie w przededniu nowego kryzysu ekonomicznego, daleko groźniejszego dla rolników Europy zachodniej, niż ten, na który obecnie narzekamy. Wysiłki, które robią Stany Zjednoczone na rynkach: londyńskim, hamburskim i innych najlepszym są tego prognostykiem i dowodem. Należy mieć to na uwadze, aby niespodziewanie nie być zaskoczonym.

Stan obecnej chwili, w kilku słowach, tak się przedstawia: konkurencyi pszenicznej, przynajmniej ze strony Stanów Zjednoczonych, obawiać się na przyszłość nie należy; za to produkty zwierzęce coraz bardziej będą zagrażane współzawodnictwem amerykańskiem. Z tego wynika ważny wniosek, że uprawy zbóż lekkomyślnie zarzucać nie należy. Kultura ich najlepiej odpowiada naszemu klimatowi i glebie. Zwróćmy całą usilność na zwiększanie produkcyi, a tem samem na zniżenie jej kosztów. Postęp pod tym względem może być tylko powolny. Nie zrażajmy się tem, i wytrwale z ufnością kroczmy naprzód."

KRONIKA.

Lwów 20 sierpnia.

Ze sfer urzędowych i towarzyskich Dyrekcya poczt i telegrafów przeniosła oficyała pocztowego Zygmunta Rogosza ze Stryja do Krakowa, a asystenta pocztowego dr. Michała Krawczyka z Krakowa do Lwowa. — Konkurs rozpisała rada szkolna okręgowa w Samborze na posadę starszego nauczyciela przy tamtejszej 6-klasowej szkole męskiej. Płaca 770 złr., termin do końca września.

Mylna wiadomość. *Dziennik polski* podaje dziś, jakoby na wczorajszem posiedzeniu delegatów miasta uchwalono oddać wszelkie sprawy zewnętrzne magistratu, jak kontrolę nad komisaryatami i inne, wiceprezydentowi Schayerowi; zaś wewnętrzne prezydentowi Małachowskiemu, ewentualnie urzędowemu wiceprezydentowi Romanowskiemu. Wiadomość ta jest mylna. Zgromadzenie delegatów takiej uchwały nie powzięło i wogóle tą sprawą się nie zajmowało, albowiem przydzielanie pewnych spraw prezydyalnych wiceprezydentowi należy wyłącznie do atrybucyi odpowiedzialnego za wszystko prezydenta miasta. Skoro zaś nowy prezydent Małachowski nie objął jeszcze urzędowania, nie mógł ani on, ani nikt inny myśleć o podziale agend.

Porządki panujące w mieście naszem uzyskałyby niechybnie najwyższe odznaczenie na wystawie w Abderze; niedbalstwo organów miejskich przechodzi już wszelkie wyobrażenie. Przy ulicy Piekarskiej naprzykład budują kanał; nad głębokim rowem naprzeciw hotelu „Metropole" położono kładkę, której ani nie opatrzono poręczami, ani też jej w nocy nie oświetlają. Onegdaj w nocy przechodziło przez kładkę kilku oficerów, a dwaj z nich straciwszy równowagę wpadli do rowu i mocno się potłukli. Śliczne mamy porządki za drogie pieniądze!

Ofiarą swego zawodu padł przed kilku dniami Michał Dzikowski, naczelnik stacyi kolei państwowej w Soli, w powiecie żywieckim. Podczas burzy z piorunami, która w owej miejscowości szalała, siedział Dzikowski przy aparacie telegraficznym i nadawał depeszę. Wtem uderzył w aparat piorun i tak silnie poraził Dzikowskiego, iż on zmarł w kilka godzin potem.

Konferencya biskupów pruskich rozpoczęła się wczoraj w Fuldzie. Biorą w niej udział: ks. dr. Stablewski, arcybiskup poznański; kardynał Kopp, biskup wrocławski, arcybiskup koloński, biskupi: chełmiński, warmiński, moguncki, limburski, trewirski, monasterski, paderborński i biskup polowy z Berlina. Brak tylko arcybiskupa fryburskiego oraz biskupów osnabrückiego i hildesheimskiego, którzy przybyć nie mogą.

Międzynarodowe wyścigi cyklistów odbędą się na lwowskim torze dnia 6 września. Biegów będzie dziewięć.

Zasiłki dla internatów. Z dotacyi sejmowej na zasiłki dla internatów, istniejących przy seminaryach nauczycielskich męskich i żeńskich, udzielił Wydział krajowy zgodnie z wnioskiem Rady szkolnej krajowej po 800 zł internatowi żeńskiemu w Krakowie; internatom męskim w Krakowie, Samborze i Tarnowie; 500 zł. internatowi męskiemu św. Jozafata we Lwowie, 400 zł. internatowi męskiemu w Stanisławowie, 300 zł. internatowi żeńskiemu we Lwowie; wreszcie z funduszu dyspozycyjnego internatowi męskiemu w Sokalu 200 zł. Niemniej podzielając opinię Rady szkolnej krajowej, postanowił Wydział krajowy wstawić do preliminarza budżetu na rok 1897 zwiększoną dotacyę na internaty w sumie 5000 zł. zamiast dotychczasowej 4400 zł., a to ze względu na rozwój internatów, gdyż prócz świeżo powstałego internatu w Sokalu, przybywa jeszcze nowy w Krośnie.

Awans. Onegdaj, jako w dzień urodzin Cesarza, ogłoszono awans uczniów akademii wojskowej terezyańskiej. W pułkach galicyjskich mianowani zostali podporucznikami z wojskowej akademii terezyańskiej: Waleryan Piotrowski 93 pp, Edward Deinhardt 13 pp, Jan Zeis 9 pp, Oskar Karojlowicz 32 bat. strz., Maksymilian Wenzlik 11 p. uł., Kazimierz Ścibor Rylski 30 pp., Henryk Otto 95 pp., Wiktor Richter 10 p. dr., Fryderyk Baley 55 pp., Wiktor Bilimek 11 p. dr., Paweł Schlosser 45 pp., Aleksander hr. Dzieduszycki 3 p. dr., Otton Kundler 77 pp., Albert Tepser 12 b strz., Aleksandar Endte 57 pp., Emeryk Gluth 90 pp., Karol Löffler 89 pp., Antoni Gartner 2 p. uł., Henryk Werdan 10 pp., Wiktor Irblich 41 pp., Maksymilian Thury 9 p. dr., Arnold Haller 30 pp., Pedro książę Braganza 4 pp., Włodzimierz Oborny 56 pp., Aleksander Tabora 6 p. uł., Otton Klobucar 7 p. uł., Fryderyk Mende 58 pp., Adam Wierzchleyski 13 p. uł., Gustaw Czerny 10 p. dr., Kubert Archer 4 p. uł., Henryk hr. Chorinsky 8 p. uł., Gustaw Wlczek 15 pp., Jerzy Kalm Podoski 8 p. uł.

Z technicznej akademii wojskowej w artyleryi: Artur Nowakowski, Ludwik Grünberger, Teodor Boruszczak, Hugon Lewicki, Leon hr. Rzyszczewski.

W oddziale inżynieryi: Jan Niesiołowski 12 bat. pion., Cezar Haller 11 bat. pion., Edw. Küchler 9 b. p., Karol Jüstel 12 b. p., Waleryan Dąbrowiecki 1 b. p., St. Starzewski 2 b. p.

Zguba. Między Radymnem a Jaworowem znaleziono w nocy z 18 na 19 bm. puszkę na cygara. Poszkodowany zechce się zgłosić do prof. Vogla w Jarosławiu.

Strejk w Szczakowej. Nadinspektor przemysłowy, p. Nawratil, uproszony do interwencyi pomiędzy strejkującymi a dyrekcyą szczakowieckiej fabryki sody, powrócił już do Lwowa, gdyż usiłowania jego były bezowocne. Sprawa sporna przedstawia się mniej więcej tak. Fabryka w Szczakowej, zatrudniająca 384 robotników płaciła najemnikom pomocniczym 60 ct do 70 ct., a za roboty ściśle fabryczne 1 złr. do 1 złr. 20 ct. za 11-godzinną pracę. Oprócz tego, każdy robotnik dostaje bardzo tanio węgiel, bo po 12 ct. za 100 kg. Warunki egzystencyi robotników nie są tedy najgorsze. Fabryka natomiast znajduje się wobec żądań robotników w bardzo trudnej pozycyi, bo konkurencya fabryk angielskich i niemieckich jest olbrzymią, a kopalna sól wielicka używana przez nią do fabrykowania sody droższą, aniżeli kuchenna sól, której używają inne fabryki. Nadto fabryka ta ma już pokrytą potrzebę swych wyrobów, a stosunki utrzymywane z innemi austryackiemi fabrykami sody pozwalają jej na kilkumiesięczne wstrzymanie wszelkiego ruchu, bez dotkliwych strat. W obec groźnego stanowiska, jakie robotnicy zajęli względem dyrekcyi fabryki, zerwała już dyrekcya z nimi wszelkie stosunki robotnicze i zamierza usunąć wszystkich robotników z mieszkań fabrycznych. Dwutygodniowe bezrobocie przyniosło bastującym przeszło 3000 złr. straty. Oto nowy przykład błogich skutków strejku!

Dowóz bydła rogatego do Austro-Węgier z okręgów rządowych państwa niemieckiego: Poczdam, Szczecin, Magdeburg, Düsseldorf, Kolonia, Niższa Bawarya, Lipsk i z księstwa Anhalt został wzbronionym z powodu panującej w tych obszarach zarazy płucnej.

„Ameryka zawali się za trzy tygodnie" Takie i tym podobne historye opowiada chora jakaś, wiejska dziewczyna w Podleszanach koło Mielca, a lud wsłuchuje się w jej opowiadania, w które wplątą się czasem ustęp z kazania słyszanego gdzieś na odpuście lub w kościele — i uważa nieszczęśliwą za zjawisko cudowne, pobożnie wzdychając: „O Maryo niebiańska!" Baśnie te ogarnęły daleką okolicę, a lud chętnie w nie wierzy i spieszy oglądać cud. — To samo słyszeliśmy przed kilku dniami w Brzozdowcach koło Rozdołu, gdzie również opowiadają, że zjawiła się Matka Boska. Próżnemi były perswazye i wykazywanie niedorzeczności — wiara ludu jest wielka, ale ślepa. Władze świeckie i kościelne powinny koniecznie wdać się w tę sprawę, by uniknąć nowych profanacyi.

Wystawy dzisiejsze i przyszłe Wystawomania jest coraz powszechniejszą. Z dniem każdym dowiadujemy się o planie nowej jakiejś wystawy lub otwarciu jej. I tak w Pradze otwarto ubiegłej soboty drugą z rzędu wystawę aptekarską, w Grudziądzu istnieje wystawa piwa miodowego (Methbräu), które wyrabia rodak nasz z Torunia p. Ziołkowski; dalej mamy wystawę hygieniczną w Warszawie, przemysłową i artystyczną w Odessie, wystawę rolniczą w Niżnym Nowogrodzie, przemysłową w Berlinie i Norymbergii, krajową w Dreźnie, międzynarodową wystawę marynarki w Kilonii, saskoturyngską w Lipsku, międzynarodową w Cannes, narodową i kolonialną w Rouen, narodową i marek pocztowych w Genewie, międzynarodową w Meksyku, wystawę w Johannesburgu, w Brisbane, w Parze, elektryczną w Nowym Jorku. Przytem cały szereg pomniejszych wystaw lokalnych. Na rok 1897 z większych wystaw zapowiedziane są: powszechna w Kijowie, Brukseli i Rio de Janeiro, na r. 1898: wystawa powszechna w Amsterdamie i w San Paulo, na rok 1899 wystawa w Adelajdzie, a na rok 1900 wystawa powszechna w Paryżu i etnograficzna w Belgradzie.

I graj tu w loteryę! Wszystkich, którzy wygrali cośkolwiek na loteryi wystawy berlińskiej spotkał bolesny zawód, bo rezultat ciągnienia unieważniono, gdyż się okazało, że w kole brakowało jednego numeru. Nowe ciągnienie odbędzie się za dni kilka.

Połączenie Lwowa z Warszawą *Gazeta Kielecka* donosi, że na wiosnę r. 1897 rozpoczną się roboty około budowy kolei od stacyi Ostrowiec do Tomaszowa pogranicznego.

Zaręczyny królewicza włoskiego, Wiktora Emanuela z księżniczką czarnogórską Heleną ogłoszono już oficyalnie. Narzeczeni stanowią istotnie dobraną parę, różnica wieku między nimi wynosi bowiem lat sześć. Książę Wiktor Emanuel jest dzielnym, energicznym młodzieńcem. Urodził się w r. 1869, ma więc obecnie 27 lat. Urodził się rachitycznym, chorobliwym, ale staranne wychowanie fizyczne i pieczołowitość rodziców zrobiły zeń dobrego generała. Jak wiadomo, jest jedynakiem. Ci, co go bliżej znają, mówią o nim, jako o jednym z najinteligentniejszych i najwięcej wykształconych książąt krwi. Z natury poważny, zamiłowanym jest w numizmatyce i posiada też bardzo piękny zbiór monet; historyę i geografię zna wybornie, cytuje z pamięci nazwiska i daty z największą łatwością, znać, że odziedziczył po matce Małgorzacie, księżniczce Sabaudzkiej, inteligencyę i energię. Włada doskonale językami: francuskim, angielskim i niemieckim. Wogóle umysł i zdolności jego przechylają się więcej ku naukom ścisłym, niż ku sztuce i literaturze nadobnej. Od czasu, jak został generałem, z miejscem zamieszkania we Florencyi, w pałacu Pitti, dawnej rezydencyi królestwa przed r. 1870, spełnia obowiązki wojskowe z największą skrupulatnością; jest, jak to mówią, służbistą. Surowy dla podwładnych, jest nim zarówno względem siebie.

Majątku własnego nie posiada. Skoro doszedł do pełnoletności, król Humbert nie pozwolił, aby parlament asygnował fundusze na utworzenie oddzielnej listy cywilnej, jak przepisanem jest przez konstytucyę. Ponieważ lista cywilna królewska jest już i tak bardzo znaczną, przeto, aby nie obciążać budżetu państwa, król Humbert wyznaczy mu stałą pensyę z własnej listy cywilnej i książę Neapolu, razem z księżniczką Heleną, będą prowadzić oddzielny dom.

Księżniczka Helena ma lat 21 i ma być niezwykle piękną, zdrową i silną, co jest ważnem w kwestyach dynastycznych. Wychowywała się w arystokratycznym pensyonacie petersburskim t. z. „Smolnym Monastyrze".

O łaźniach słów kilkoro. Było naszym narodowym zwyczajem używać często łaźni. Kronikarz Nestor, opisując swoją podróż brzegami Dniepru do Nowogródka, wspomina o „baniach drewnianych, z piecami kamiennymi", które przecież niczem innem nie były, jak tylko łaźniami. „Widziałem — pisze on — rzeczy dziwne, jak ludzie rozebrani do naga polewali się ciepłą wodą i wiennikami chłostali się tak mocno, że ledwie żywi wychodzili. Wyszedłszy, polewali się zimną wodą. I tak czynili co dzień". Znany Marcin Gallus zapewnia, że największą przyjemnością Bolesława Chrobrego było używanie kąpieli parnej. Zwolennikiem jej był także Władysław Jagiełło, a brat jego, Swidrygiełło, wielki książę litewski, celem podtrzymania zdrowia otrzymał od papieża Eugeniusza IV pozwolenie na używanie kąpieli nawet w dni świąteczne. Za ostatnich Jagiellonów łaźnie parowe cieszyły się ogromnem powodzeniem i były budowane z wielkim przepychem przy zamkach królewskich i książęcych.

Stefan Batory i Zygmunt III byli przeciwnikami kąpieli ciepłych, a zatem szlachta i możni panowie zaczęli je zaniedbywać. W pamiętnikach XVI wieku czytamy, że ówczesna łaźnia publiczna była budynkiem drewnianym, opatrzonym piecem z kamienia, który po rozpaleniu do czerwoności był oblewany wodą. Łaźnie owe wypuszczano w dzierżawę „łaziebnikom", których zobowiązywano do płacenia skarbowi podatku 15-groszowego. Uposażenie tych łaziebników było bardzo skromne i dlatego pogardzano nimi ogólnie, tak, że nawet prawo saskie nie dozwalało dzieciom ich wstępować do rzemiosła. Pierwsza w Polsce murowana łaźnia parowa, jak wykazują źródła dziejowe, była zbudowana w Warszawie przy zamku Jazdowskim w roku 1376, za Janusza, księcia mazowieckiego. Później łaźnia owa była przeniesiona na miejsce, gdzie dziś znajduje się pałac Łazienkowski. Jan Wilk, wójt warszawski, uzyskał w r. 1469 pozwolenie na urządzenie swoim kosztem drugiej murowanej łaźni miejskiej, obowiązując magistrat, ażeby co tydzień bezpłatnie korzystali z niej biedacy, a co drugi OO. Bernardynom miały być golone brody i tonsury. W rubrycelach miejskich pod datą 1602 roku znajdujemy notatkę, odnoszącą się do istnienia jeszcze dwóch łaźni.

W czasie wojen szwedzkich (1655) kąpiele parowe zniszczono wszędzie, gdzie skandynawski wróg się dostał i odtąd zapewne datuje się u nas widoczny brak potrzeby łaźni, która „zdrowiu i ochędostwu wielce służy", jak mówi stary kronikarz. Zdałaby się we Lwowie łaźnia tania, parocentowa, dla ubogiego ludu, ale teraz nie ma jej i dla zamożnych. Duchеńskiego wciąż się naprawia, a Grossa się przerabia. Nie ma gdzie się opłukać.

Z Tarnopola nam piszą: Stolica płynącego niegdyś mlekiem i miodem Podola, upada. Handel zbożem, z którego Tarnopol dawniej słynął i na którym się wzbogacał, ustał już, a z nim ustał też i dobrobyt miasta, chylącego się dziś do upadku. Z uznaniem podnieść wypada, że zainicyowano w ostatnim czasie akcyę zmierzającą do dźwignięcia miasta i powrócenia mu dawnej świetności i dobrobytu. W tym celu odbyło się przed kilku dniami w sali ratuszowej zgromadzenie miejscowych kupców i przemysłowców. Po wyczerpującej dyskusyi, jaką wywołały sprawy stojące na porządku dziennym, uchwalono wysłać do Wiednia deputacyę, która przedłoży ministrom handlu i kolei petycye o przeniesienie do Tarnopola, lub utworzenie nowej izby handlowo przemysłowej i o założenie w Tarnopolu publicznego krajowego lub państwowego magazynu składowego. Tarnopolski poseł na Sejm krajowy pan minister Rittner oświadczył przed kilku tygodniami deputacyi magistratu tarnopolskiego, bawiącej w Wiedniu, iż wszelkich sił dołoży, ażeby miastu dopomódz, jest więc wszelka nadzieja, iż usprawiedliwione życzenia Tarnopolan, zostaną spełnione.

Mimo nie wesołych na razie stosunków ekonomicznych, z przyjemnością zaznaczyć należy, iż Tarnopol pod względem czystości, ruchu budowlanego i upiększenia miasta z każdym dniem się podnosi. Zasługą to magistratu, który nie szczędzi ofiar, by zaprowadzić tu ład i porządek. Zadanie to ułatwia magistratowi w znacznej części Towarzystwo upiększenia miasta, które krótko wprawdzie istnieje, wiele już jednak dobrego zdziałało. Dzięki naszej Kasie Oszczędności otrzyma niebawem miasto gmach, który swoją wspaniałą architekturą wiele się do upiększenia miasta przyczyni. Gmach jest już na ukończeniu i przynosi zaszczyt twórcom swoim architektom lwowskim pp. Masłowskiemu i Boguchwalskiemu.

O powrocie Nansena donoszą z Chrystyanii pod datą 15 b. m.: Szczęśliwy powrót Nansena wywołał tutaj niekłamaną radość. Tłumy ludności zgromadziły się przed redakcyami tutejszych dzienników, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Nansenie. Miasto przyozdobione chorągwiami. Portret Nansena można spotkać na każdym kroku. Także z innych miast norweskich donoszą o wielkim entuzyazmie. Gdy Nansen przybył do Vardoe, ludność witała go okrzykami radości. Tłumy zebrały się przed hotelem i urządziły mu owacyę. Nansen telegrafował stąd do swej żony, oraz do króla Oskara i do rządu norweskiego. W piątek wydał Nansen bankiet dla członków wyprawy Jacksona. W niedzielę urządziło miasto Vardoe bankiet na cześć Nansena, który w poniedziałek udał się parowcem pocztowym w podróż do Hammerfestu, gdzie spotka się z żoną. Do Kopenhagi zawita Nansen za 4 do 6 dni. Wszystkie miasta, przez które przejeżdżać będzie, przygotowują uroczyste przyjęcia. W Kopenhadze odbędzie się wjazd uroczysty, a wieczór iluminacya i bankiet.

Przed wyruszeniem w podróż podbiegunową zawarł Nansen z londyńską *Daily Chronicle* układ, w którym zobowiązał się przesłać dziennikowi pierwszy telegram objętości 2000 słów i pierwsze listowne sprawozdanie w 4000 wierszach. Honoraryum oznaczono w sumie 5000 fts. a więc 60.000 złr. Istotnie pierwsze szczegóły telegraficzne podała *Daily Chronicle* w dniu przybycia Nansena do Vardö.

Oszust na wielką skalę. W Düsseldorfie rozpoczął się obecnie skandaliczny proces przeciw niejakiemu A. Volbedingowi, który przez długi szereg lat oszukiwał łatwowierną publiczność jako cudowny lekarz-homeopata. Proceder szachrajski tego cudownego lekarza polegał głównie na tem, że za grube wynagrodzenie udzielał porady i lekarstwa chorym zamiejscowym, którzy udawali się do niego listownie. Listów takich przychodziło do niego setki i tysiące, a lekarz cudowny wcale ich nie otwierał pozostawiając tę czynność, jako też i obowiązek odpowiadania na listy trzem swoim pomocnikom: aptekarzowi Langemu i jego subjektom Könneckemu i Wigerathowi. Asystenci ci odpowiadali na listy, posyłali wszystkim jedno i to samo lekarstwo i pobierali od Volbedinga za tę czynność po 8000 do 10.000 marek tantyemy.

Jakie dochody miał Volbeding z tego listownego leczenia, można mieć wyobrażenie z tego, że rocznie wydawał 150.000 marek na same reklamy, które umieszczał w 600—800 dziennikach. W przybliżeniu obliczają jego dochody na pół miliona marek. O olbrzymich dochodach świadczyło także życie prywatne Volbedinga, które było rozwiązłe i wspaniałe, tak, że zwracało uwagę całego miasta.

Aby dać próbkę w jaki sposób odbywało się to leczenie, przytaczamy wypadek, jaki się zdarzył w Galicyi. Oto pewien starszy nauczyciel ludowy wyobraził sobie, że jest chorym na żołądek. Przekonanie to było u niego tak silne, że nie uwierzył wielu lekarzom, zapewniającym go, że mu nic nie brakuje. Udał się do Volbedinga listownie o poradę i wkrótce otrzymał odpowiedź, że porada i lekarstwo będą mu udzielone, jeżeli przyszle za konsultacyę 10 marek, a za każdą flaszkę lekarstwa 8 marek. Łatwowierny hipochondryk posłał żądane pieniądze, otrzymał pisemną dyagnozę i flaszkę lekarstwa. Wypił zawartość tej flaszki, sprowadził drugą i tę też zużył i wreszcie uczuł się zdrowym. Napisał list z podziękowaniem do Volbedinga, który naturalnie natychmiast został wydrukowanym. W krótkim czasie otrzymał od cudownego lekarza prezent w postaci wonnych cygar i malutką prośbę, aby był łaskaw rozgłaszać zdolności lekarskie Volbedinga między swoimi w okolicy. Przejęty wdzięcznością, uleczony nie omieszkał uczynić zadość tak małej prośbie, a cudowny lekarz począł otrzymywać coraz więcej listów z okolicy, w której mieszkał jego pacyent.

W analogiczny sposób zdobywał sobie Volbeding pacyentów, rekrutujących się z najrozmaitszych zakątków i stanów. O sposobach, może jeszcze mniej lojalnych, dowiemy się zapewne wkrótce z przebiegu samego procesu, który budzi ogromne zaciekawienie.

Wyrodna matka. Policya aresztowała zarobnicę Maryę Buga, która nowonarodzone swe dziecko podrzuciła na polach w Rudnie.

Eksplozya. Stefan Jacula, wieśniak ze Starzawy w pow. mościskim, znalazł na polu dwa niewystrzelone pociski działowe. Chcąc zobaczyć jak ten pocisk we środku wygląda, usiłował go rozebrać. Pocisk naturalnie eksplodował i pokaleczył Jaculę, oraz dwóch chłopaków stojących opodal.

Wydalenia żydów. Policya kijowska wydala obecnie żydów ze wsi Nikolskiej i Przedmiestnej, w których, jak donosi *Kijew. Słowo*, pobyt wzbronionym im został jeszcze w r. 1884. Wydalonych jest około 500 osób.

Szabla Rakoczego, darowana Węgrom przez cara, tak wygląda: Klinga szabli nosi napis w złocie: Jerzy Rakoczy 1670. Pochwa oprawiona jest kutem srebrem, wyłożonem koralami. Podobne ozdoby ma także rękojeść. Na środku pochwy widnieje pozłacany wykonany w grawirowanem srebrze herb Jerzego Rakoczego II księcia Siedmiogrodu. Szabla w czasie węgierskiej walki o wolność dostała się w ręce Rosyan. Damy siedmiogrodzkie zrobiły z niej podarunek Bemowi. Gdy namiot Bema wpadł w ręce Rosyan, dostała im się także i szabla, którą potem jako ciekawą pamiątkę przechowywano w zbrojowni petersburskiego dworu. Referent historycznego działu wystawy dr. Szendrey umieścił tę szablę w spisie przedmiotów, które się ma dla wystawy wypożyczyć. Minister handlu zaś postarał się o interwencyę ministra spraw zewnętrznych, na którego prośbę car pożyczył Węgrom drogocenną pamiątkę. Właśnie zamierzali Węgrzy odesłać szablę do Rosyi, gdy ku swej żywej radości dowiedzieli się, że car im szablę darował.

Ks Bismark na scenie. Pisarz niemiecki, Walter Hanau, napisał komedyę pt. „W kwietniu", której głównym bohaterem jest ks. Bismark. Treścią komedyi są zaręczyny żelaznego kanclerza. Jest to pierwszy dopiero utwór sceniczny, wprowadzający ks. Bismarka bez żadnych zgoła osłon, dotąd bowiem w próbach podobnych nadawano mu inne nazwisko. Komedya „W kwietniu" wyszła tylko w druku, ale czy ujrzy światło kinkietów w Niemczech, nie wiadomo.

Zmarli. W Nowym Targu Stanisław Tobolski, urzędnik kolei państwowej. W Przemyślu Wilhelm Gürtler, urzędnik Towarzystwa zaliczk. rolnego.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 8 R, w poł. 16 R. Bar. 766. Podnosi się. Pogoda.

Osobliwe westchnienie.

— Ach!
— Czego pani tak wzdycha?
— Jakże zazdroszczę mężczyznom!
— Dlaczego?
— Nie zostają nigdy staremi pannami..

Myśli.

Serce kokietki, to barometr, wskazujący stale „zmianę".

Życie, to kwiat, który rośnie zarówno dla bogacza, jak dla ubogiego; różnica polega na tem, że bogacz podlewa kwiat szampanem, a ubogi potem.

Z teatru. Dziś we czwartek po raz szósty „Jadzia wdową", krotochwila w 3 aktach R. Ruszkowskiego z panną Czaplińską i p. Zelazowskim w głównych rolach. W roli Bolesława wystąpi po raz drugi p. Władysław Korczak, artysta teatru łódzkiego. W piątek po raz drugi „Doktor Klaus", komedya w 5 aktach Adolfa L'Arronge'a. W roli Gustawa wystąpi po raz trzeci p. Władysław Korczak. W sobotę pierwsze przedstawienie operetki po powrocie z Krakowa „Sztygar", operetka w 3 aktach Zellera. W niedzielę (wznowienie) „Ottelo", tragedya w 5 aktach Szekspira z p. Zelazowskim w roli tytułowej, a panią Kwiecińską jako Dezdemoną. W poniedziałek „Gasparone", operetka w 3 aktach Millöckera.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 18 sierpnia.

(Z.) Giełda nasza znajdowała się dziś w prawdziwie letargicznym stanie. Nic nie mogło ożywić ruchu, nawet ogłoszenie półrocznego bilansu Zakładu kredytowego, który, pomimo znacznych strat skutkiem listopadowego krachu, zamyka się mniej więcej tą samą cyfrą co bilans z pierwszego półrocza ubiegłego roku. Ku końcowi obrotów nastała zniżka, gdyż z Berlina sygnalizowano osłabienie się tendencyi skutkiem nowych pogłosek o przesileniu kanclerskiem w Niemczech. W Paryżu, po bardzo długiej pauzie, rozwinął się dziś handel rentą włoską.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 361·90, węgierskie 388·—, Anglobanki 154·75, Uniony 287·—, Bankvereiny 264·—, Länderbanki 249·50, Ludwiki 219·25, Czerniowieckie 286·—, Elbethale 274·50, Renta papierowa 101·45, srebrna 101·55, austryacka złota 123·70, 4% austr. renta wal. kor. 101·15, węgierska złota 122·30, 4% węgierska renta wal. kor. 99·50, dukat 5·64—, 20-frankówka 9·50, marki 11·72, ruble 1·26¾.

§ **Żniwa w Rosyi.** Z Petersburga donoszą, że tegoroczne żniwa w Rosyi zawiodły oczekiwania. Słomy jest wprawdzie bardzo dużo, ale ziarno lekkie. Najlepiej udały się zboża nad morzem Bałtyckiem, nie dopisały jednak zupełnie w prowincyach południowych i na Krymie, zaś w południowo-zachodnich prowincyach zbiór jest zaledwie średni.

Telegramy „Przeglądu".

Madryt 20 sierpnia. Na morzu Antylskiem, w pobliżu Kuby, znajduje się grupa malutkich wysepek, należących do Anglii. Każda z tych wysepek nazywa się Cay, a nadto ma dodane bliższe określenie, jak Zachodnia, Wschodnia, Środkowa itp. Otóż na jednej z tych wysepek, Caywest, urządziła ludność manifestacyę antihiszpańską i znieważyła sztandar hiszpański, potargawszy go i podeptawszy.

Konstantynopol 20 sierpnia. Obiega tu pogłoska, że Porta zamierza byłego patryarchę ormiańskiego Izmirliana skazać na wygnanie do Trypolidy. Z tego powodu panuje ogromne wzburzenie w sferach ormiańskich.

Barcelona 20 sierpnia. Na publicznem miejscu spacerowem, zwanem Gracią, podczas koncertu muzyki wojskowej explodowała petarda, podłożona pod ławkę. Między publicznością powstała ogromna panika. Na szczęście nikt nie został zabity, ani skaleczony.

Rzym 20 sierpnia. Z okazyi zaręczyn królewicza włoskiego z księżniczką Heleną czarnogórską, otrzymali królestwo, tudzież królewicz serdeczne depesze gratulacyjne od wszystkich monarchów.

Fulda 20 sierpnia. Wczoraj rozpoczęła się tu konferencya biskupów, w której bierze udział także ks. arcybiskup Stablewski.

Berlin 20 sierpnia. *Norddeutsche Allg. Ztg.* donosi, że cesarz sankcyonował już uchwalony przez parlament nowy kodeks cywilny, mający obowiązywać w całych Niemczech.

Belgrad 20 sierpnia. Arnauci zamordowali koło Prizrendu na terytoryum serbskiem konsula tureckiego z Wranii.

Wiedeń 20 sierpnia. Prezydent ministrów hr. Kazimierz Badeni wrócił dziś rano ze Styryi.

Minister hr. Gołuchowski wyjechał wczoraj wieczorem do Ischlu.

Konstantynopol 20 sierpnia. Porta zawiadomiła poselstwa, że w dwóch punktach wylądowało na Kretę dwudziestu ośmiu greckich oficerów w uniformach, mając ze sobą trzy działa górskie, 2.000 karabinów systemu Chassepot i 700 000 patronów.

HOTEL ŻORŻA

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 19 sierpnia. J. Kroczkiewiczowa z Kijowa. Dr. Wł. Woliński z Puław. M. hr. Komorowski z Chorobrowa. F. Scazighino z Przeworska. St. Sozański z Koralowic. A. Delimberg, R. Podoski i J. Zieleniewski z Podola rosyjskiego. Dr. M. Rosenstock ze Skałatu. M. Brykczyński z Pacykowa. O. Boborsky z Trembowli. E. Grossi z Lyonu.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON i Spółka.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 19 sierpnia. Dr. Wł. Czaykowski z Przemyśla. J. Lorenowicz z Krakowa. Z. Ajdukiewicz z Komarna. J. Żywałowski z Podkamienia. M. Groblewski z Szczawnego. Majorowa Zoffal z Jaremcza. J. Kühmeier z Kijowa.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 20 sierpnia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217.50 do 220.50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 285.— do 290.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 390.— do 400·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.80 do 100.50. 4 proc. los w 60 lat 96.60 do 97.30. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50. 4 proc. los. w 42 i pół latach 97.60 do 98.30, 4 proc. los. w 56 lat 97.50 do 98.20.

Obligi. za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97.60 do 98.30. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do —. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70. Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc 100.00 do 100·70, 4 proc. z r. 1891 97·— do 97.70, 4 proc po 200 koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.50 do 9·60. Półimperyał 9.60 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27. 100 marek niemieckich 58.60 do 59.—

Wiedeń 19 sierpnia. Notowania wieczorne. Kredyty 361·00, węgierskie kredyty 380·00, anglobank 155.00, bankverein 264·25, unionbank 290·00, länderbank 249·75, staatsbahny 358·00, lombardy 101·25, elbethale 274·50, akcye tytoniowe 157.00, rima 239·50, alpiny 79·60, renta majowa 101·55, węg. renta koronna 99·50 losy tureckie 49·60, marki 58·63, ruble 126·85.

21)

WYSWATANA

Powieść

Jana de la Brète.

Tłumaczona na polskie przez baronową Hartingową.

(Dokończenie).

Widzę ją całą w bieli, z pękiem róż u łona, z włosami w długich splotach spływającemi ku ziemi... słyszę dźwięczny, srebrzysty głos jej, który budzi echa opustoszonego dworku... i jedno wspomnienie więcej skarbię w sercu, gdzie już ich jest tyle...

Usiadłyśmy obie z Józefką na wygniecionych starych fotelach, które cudem równowagi trzymają się w miejscu, i obie milcząc wywołujemy ducha przeszłości wśród rozwianego pyłu i pamiątek.

Naraz spazmatyczne łkanie rozrywa mi piersi.

— Taka była młoda i piękna... i taka szczęśliwa... tak żądna życia!... — mówię wśród łez.

— O! moja złociuchna pani, na co się to już zda wspominać!—odpowiada płacząc Józefka. Czyż to ja nie powinnabym była umrzeć na jej miejscu... ja, która już ósmy krzyżyk dźwigam na barkach i na nic już nikomu przydać się nie mogę!

— Nikt wyroków Bożych przesądzać nie może — odpowiadam smutnie. Tylko życie przyszłe nam wyjaśni mądrość ich i przezorność.

I podnoszę się z miejsca, aby zejść do ogrodu. Ale najprzód idziemy do pralni, której ceglana podłoga i obielone ściany pozieleniały pod działaniem wilgoci. Stół do prasowania stoi wpośrodku pokryty jeszcze białym, pożółkłym obrusem.

— Ile ja tu dobrych chwil spędziłam z tobą, Józefko!... — mówię rozglądając się dokoła.

— Moja droga paniuchno, w twoim stanie zdrowia, po co to było tu przyjeżdżać, aby w żywem sercu obracać sobie żelazo. Zaszkodzisz sobie tylko — odpowiada staruszka.

— A cóż już mnie dziś zaszkodzić może? — odpowiadałam łagodnie.

A jednak czuję, że ta poczciwa starowina ma słuszność. Kiedy odpycham zieloną okiennicę, całą rozleciałą, mówię: Czy pamiętasz z jaką ciekawością i niepokojem przypatrywałyśmy mu się stąd, jak wysiadał z powozu?! — pytam siebie samą, dlaczego taki dojmujący ból przeszywa moje piersi i dlaczego serce moje pozostało dotąd młode?

Po raz ostatni, coraz wolniejszym, zniknonym krokiem, obchodzę dokoła całą małą posiadłość.

W cieniu stuletnich lip i kasztanów popadam jak niegdyś w głęboką zadumę. U stóp moich leżą szczątki drewnianej ławki, na której siedziałyśmy oboje a białe powoje jak dawniej czepiają się łodygami krzewów i zarośli; spoglądam na ich blade kielichy, które mi przypominają zwodnicze obietnice szczęścia i marzenia rozwiane, i echo — przebrzmiałe dawnych dni, słabym dźwiękiem zdaje się drgać dokoła mnie w podmuchu wiatru szemrzącego wśród kwiatów.

Tu zatapiam się w wspomnieniu... och! tak żywotnem jeszcze!...

Widzę ich, jak — niby dwoje swawolnych dzieci, oddalają się cichaczem, drobnemi krokami biegnąc w głąb ogrodu, radzi, że choć na chwilę oswobodzili się od dozoru starszych. Zatrzymują się pod nemi staremi lipami i próbują usiąść na spróchniałej ławce, która trzeszczy pod ich lekkim ciężarem. Śmieją się i dłoń w dłoni, pochyleni ku sobie, podziwiają obfitość śnieżnych powoi, a po chwili zapominają o kwiatach i cały podziw wzajemny zwracają ku sobie.

On lękliwym wzrokiem rozgląda się dokoła, czy go nikt nie widzi, i gorące usta swe zbliża do twarzyczki mej córki, która płoni się jak róża mająca z przestrachu i radości.

I ja nie mam siły strofować ich za to. Kochali się tak jak marzyłam, aby ich widzieć kochającymi; a ta przelotna pieszczota kochanka była dla niej najczystszym wyrazem jego uczuć. I dziś kiedy wspominam o tem, łzy gorzkie padają z mych oczu...

— Moja pani serdeczna, chodźmy stąd — prosi zaniepokojona Józefka pociągając mnie za sobą.

Zawracamy ku domowi. Spojrzeniem obejmuję jeszcze starą sień, wciągam w piersi zapachy wiosenne, zmieszane z wonią pleśni i stęchlizny, i ostatniem spojrzeniem żegnam ten salon o spłowiałych tapetach i meblach uszkodzonych od mól, w którym widzę zebranych tych wszystkich, których opiekuńcze skrzydła strzegły mojej młodości.

Podczas kiedy powóz zajeżdża przed ganek, siadam na chwilę na mchem porosłych stopniach, aby spocząć i po raz ostatni sięgnąć okiem w tę przeszłość, którą tu zostawiam za sobą. W mej mieści się moje wszystko... Przedemną ciemnia grobu, rozjaśniona tylko światłem wiary i nadziei połączenia się z tymi, których mnie tam wyprzedzili, u góry...

Gdy wkrótce wybije dla mnie ostatnia godzina i to serce, które tyle wycierpiało, zamilknie na wieki, nie ulęknę się głosu Archanioła, który mnie zawezwie na sąd boży; bo wszystko co ziemskie odpadło odemnie, i odchodząc z tego świata, duch mój za niczem oglądać się nie będzie, bo nic nie zostawiam za sobą...

Józefka nagli mnie do odjazdu i opierając się, z łagodną przemocą prowadzi do powozu, i za chwilę obie, ja jeszcze taka młoda, a ona taka zgrzybiała, mkniemy po drodze jak dwa cienie, które i śladu nie zostawiają po sobie. Konie ruszają z miejsca. Przykazuję stangretowi, aby wolno jechał. Przyjaźnem skinieniem głowy żegnam starego, wiernego sługę, który wsparty o rygiel, potrząsa smutnie głową jakby chciał powiedzieć:

— Mój ty miły Boże, co się to stało z tej naszej panienki! Wyglądało to jak kwiatuszek, a teraz takie chucho, że choć wiatrem zdmuchnąć jak puch...

U krańca szpaleru odwracam się raz jeszcze za siebie. Widzę samotny ganek zalany powodzią słonecznych blasków, pęki glicynii jak białe pióropusze powiewają w powietrzu, i naraz zioła, kwiaty, słońce i stare mury rozpływają się w mgle, która przesłania mi wilgotne oczy. Stary, wyblakły pastel zostaje zupełnie zatartym.

Usiadłszy napowrót na miejscu, spotykam wzrok Józefki pełen łez. W rozżaleniu swem podnosi ona obie trzęsące, pomarszczone dłonie swoje do góry i mówi:

— I trzebaż to było, aby Pan Bóg tak długo pozostawił mnie na świecie, żeby stare moje oczy patrzały na to...

Nie próbuję ludzić wiernego jej serca zwodniczemi słowy. Ona wie, że ja umieram... i ja wiem o tem również. Sprężyny życia mogą pęknąć. Ze spokojem i zadowoleniem odchodzę z tego świata ku tym wyżynom, do których myśl moja i uczucie wznosiły się ciągle i z których czerpałam, jeżeli nie ukojenie serdeczne, to przynajmniej siłę poddania i zaparcia siebie.

KONIEC.

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. — Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Zorza). Zarządca W. Bodak.